

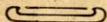
Z krainy cudów.

Z krainy cudów.

Wspomnienia z pobytu
 w Indjach Wschodnich.

według

L. Jacolliot'a.



WARSZAWA.
NAKŁADEM „ZIARNA“

—
1908.

I.

**Jaffnapatnam. — Podatki i administracja
Anglików w Indjach. — Podania religijne
i obrzędy.**

Brzegi Gangesu wywierają fatalny wpływ na zdrowie Europejczyków. Po trzyletnim pobycie w Szandernagor, gdzie sprawowałem urząd sędziego, ciągle powracająca febra wyniszczyła mnie tak dalece, że lekarze zalecili mi stanowczo, abym się udał na kilka miesięcy do Ceylonu — „Thec-Tenas-serim“ (ziemia rozkoszy), jak ją zowią Birmani.

Dzięki postępom cywilizacji, można bez kłopotu i wielkich kosztów dostać się z głównych punktów indyjskiego półwyspu do miast portowych. Wsiadłszy w Szandernagor do wagonu, w godzinę potem byłem już

w Kalkucie i tego samego dnia na parowcu, który przewiózł mnie do Madras. Ze mną jechał wierny Amudu, Nubijczyk, już od lat sześciu będącym moim sługą, totumfackim i niestrudzonym towarzyszem licznych wycieczek w głąb kraju. W Madras przesiedliśmy się na statek śrubowy Wasp (osa), dążący do Tranquebar, gdzie miałem zamiar wynająć szullach, dużą łódkę, która w ciągu jednej doby przewiozłaby nas do Jaffnapatnam, półwyspu leżącego na północnej stronie wyspy Ceylon.

Opuściliśmy Madras nad wieczorem. Słońce zachodziło za chmury ciemne, upstrzone tu i owdzie żółtymi centkami; morze miało barwę dziwną, szarawą, i lubo spokojne, nie wzbudzało przecieź we mnie zaufania. Była to bowiem pora cyklonów, corocznie o jednym czasie pustoszących wybrzeża odnogi bengalskiej. Moje domysły zamieniły się w rzeczywistą obawę, gdy około jedenastej w nocy usłyszałem, jak kapitan przed udaniem się na spoczynek zalecał oficerom służbowym, aby go obudzono za pierwszym zatrważającym objawem. W chwilę potem starszy porucznik rozkazał pozamykać wszystkie strzelnice i okna i zaczął się przechadzać po pomoście z oficerem będącym na służbie. Co chwila badał stan pogody i przedsiębrał różne środki ostrożności, dają-

ce mi miarę niebezpieczeństwa, niewidzialnego, ale i nieuchronnego zarazem. Zapra gnąłem zdać sobie sprawę z kierunku w jakim płynęliśmy; zbliżywszy się przeto do sternika, spojrziałem na kompas i zobaczyłem z przestraczem, że zamiast posuwać się równoległe do wybrzeża Koromandelu, okręt odwrócił się tyłem od niego i zdążał całą siłą pary na pełne morze, w kierunku wschodnim.

Byłem już wówczas o tyle świadomy zwyczajów żeglarskich, że wiedziałem iż okręt zawsze oddala się od brzegów przed nadejściem burzy, z obawy rozbicia. Barometr opadał szybko, wiatr zrywał się i wszystkie oznaki burzy coraz wyraźniej występowały. Znużony bezsennością, zeszedłem do kajuty. Było już około drugiej po północy. W razie gdyby rzeczy wzięły pomyślny obrót, mogliśmy za kilkanaście godzin stanąć w Tranquebar.

Nie mogłem zasnąć, lubo morze było napozór spokojne; z głębi fal dolatywały dziwne jakieś szmery, niby oddalony łoskot bębna; śruba zgrzytała pod spodem okrętu, jak gdyby przeciwne prądy tamowały jej obrót; okręt zaczynał kołysać się. Wyszedłem znów na pokład, gdzie zastałem kilku podróżnych, niespokojnie rozmawiających ze sobą. Fale wzdymały się coraz groźniej; widocznem już

było, że rozpoczyna się jeden z tych straszliwych dramatów, w których człowiek idzie w zapasy z rozhukanymi żywiołami i na kilku wątych deskach szuka ocalenia od zgłady.

Nagle rozległy się krótkie i szybkie rozkazy; zewsząd morze podniosło się i zaryczało... walka zaczynała się. Wszyscy oficerowie pospieszyli na swe stanowiska, a kapitan objął naczelną komendę nad manewrami. Po chwilowej ciszy, zaszumił, że wszystkich stron naraz, szalony wicher; olbrzymie fale zalewały statek i miotaly nim jak żdźbłem słomy... cyklon rozwinął całą swą potęgę. Pamiętaliśmy wszyscy, że w roku poprzednim cyklon podobny zatopił w Kalkucie około trzystu okrętów i pozbawił życia pięćdziesiąt tysięcy ludzi — i z trwogą zadawaliśmy sobie pytanie: czy nie wybiła dla nas ostatnia godzina.

Jeden tylko pozostawał środek ocalenia: uciekać całą siłą pary przed uraganem i dostać się w okolice spokojniejszą. Kapitan przeto, widząc że morze coraz bardziej szaleje, rozkazał sterowuć na południe i maszyna uniosła nas całą siłą pary w tym kierunku, z szybkością dwunastu węzłów na godzinę. W sile kotła i dobroci mechanizmu pokładaliśmy ostatnią nadzieję; jeden tryb

złamany, jeden gwóźdź, jedna śrubka popsuta mogły stać się powodem naszej zguby.

Dwa dni trwała ta szalona gonitwa. Śrubka okrętowa miała już tylko dwie łopatki, zamiast sześciu, a w składzie węgla utworzyła się szczelina. Gdyby oba te wypadki zdarzyły się o jeden dzień wcześniej, żadna ludzka siła nie byłaby w stanie nas ocalić. Lecz trzeciego dnia byliśmy już po za obrębem burz i cudem ocalawszy, mogliśmy bezpiecznie oczekiwać powrotu pogody. Jakoż we dwie doby potem skierowaliśmy okręt ku północy; ale śrubka popsuta posuwała statek bardzo wolno, a szczelina, zatkana na prędcie, ciągle przepuszczała wodę. Dopiero więc siódmego dnia stanęliśmy w Tranquebar, gdzie prawie wszyscy podróżni pozostali, a statek powlókł się do Colombo, gdzie czekał go conajmniej miesięczny odpoczynek w warstatach reperacyjnych.

Tranquebar jest w ciągłych stosunkach handlowych z półwyspem Jaffnapatnam i codzienne kilkanaście łodzi kursuje w jedną i drugą stronę. Wygody znaleźć na nich nie można: kącik na pokładzie, w cieniu rozpiętego płótna, oto wszystko. Właściciel, zwyczajnie Indjanin, niewiele dba o siebie, niż o swoich pasażerów, bo też jego potrzeby i upodobania są bardzo skromne: kawał płó-

tna służy mu w dzień za odzież, a w nocy za nakrycie.

Łódź, którą nająłem, nazywała się Wikrama, od imienia ostatniego króla Kandy, zrzuconego z tronu przez anglików w roku 1816; dowodził nią mahometanin, urodzony w posiadłościach francuskich i dość dobrze mówiący po francusku. Ubawił mnie on niemało podczas tej krótkiej podróży. Przez lat trzydzieści odbywał drogę między Tranquebar i Jaffnapatnam i chlubiąc się, że nigdy jeszcze nie postradał statku, przypisywał to tej okoliczności, iż ze wszystkich Indjan, właścicieli i dowódców łodzi, on sam jeden umiał obchodzić się z sekstansem. Miał on rzeczywiście w starem jakimś pudle to narzędzie, zaśnieżone i bez soczewek, zupełnie niezdatne do użytku; ale za każdym mojem pytaniem, dotyczącem kierunku wiatru lub prądu morskiego, wyjmował poważnie instrument z pudła i patrzył przezeń prosto w słońce. Dusłem się ze śmiechu, bo nie będąc żeglarzem, wiedziałem przecie, iż sekstans służy do oznaczania długości i szerokości geograficznej, podług położenia gwiazd albo słońca. Spytałem Indjanina, czy potrafiłby popłynąć do Chin lub Europy; na to odparł mi z uśmiechem pogardliwym, z ową wyższością uczonego względem ludzi niewiedzących co mówią:

— Przecież widzisz, sahib, że ten sekstans zbudowany jest tylko na przestrzeń między Tranquebar i Ceylon! Aby popłynąć do Europy, musiałbym mieć sekstans europejski.

Wysiedliśmy na ląd o kilka mil od Jéffnapatnam, w Batticot, małej wiosce, słynącej ze swych wołów. Kupiłem tegoż dnia parę tych zwierząt, wóz i namiot, niezbędny w okolicy, gdzie każdą noc prawie trzeba pod gołym niebem przepędzać. Amudu przyprowadził mi młodego Indjanina, którego najął jako woźnicę (vendikara) za cztery rupie (około rs. 3) miesięcznie.

O świcie, gdy przygotowaliśmy się do drogi, na placu targowym rozległ się brzęk tam-tam'u; pod werandą mieszkania thasildara (naczelnika wioski) zasiadł nainar (poborca podatków, a przy nim dwóch pisarków Indjan. Był to dzień ściągania podatków kwartalnych.

Zauważyłem że Kandassamy, mój woźnica, zaprzęgając woły, bardzo był smutny: ły co chwila płynęły mu z oczu. Nie dziwiłem się temu, bo biedak pożegnał swą rodzinę na kilka miesięcy, — ale mimo to przysłał mi myśl, aby zapytać go o powód płaczu.

— Mają sprzedać chatę mojego ojca, odparł z westchnieniem.

— Dlaczego?

— Bo nie ma pieniędzy na opłacenie podatków.

— Ileż winien twój ojciec?

— Czterdzieści rupij (30 rs.).

— A ileż warta wasza chata?

— Co najmniej pięćset rupij.

— Do jakiej kasty należy twój ojciec?

— Vendikara (rolnik i woźnica).

— A... tak, prawda, zapomniałem, że musi należeć do tej samej co i ty kasty. Ale jakimże sposobem woźnica może płacić tak wysoki podatek? Czy ma grunta?

— Tak jest, sahib; małeńkie pole nelly (ryżu), które żywi całą rodzinę; ale ojciec już stary i nie może pracować.

Poszedłem natychmiast do nainara i zasięgnąwszy wiadomości co do położenia starego vendikara, zapłaciłem zań czterdzieści rupij zaległego podatku. Trudno opisać radość Kandassamy, który przysiągł, że bez żadnej zapłaty pójdzie za mną na koniec świata. Obiecałem mu że jeżeli będzie mi wiernie służył, to nie potrącę owych czterdziestu rupij z należnej mu zapłaty. Nie miałem wprawdzie ani na chwilę zamiaru żądania zwrotu tej kwoty, ale wiedziałem z doświadczenia, że wdzięczność nie jest głównym przymiotem plemion indyjskich i chciałem zapewnić sobie gorliwość woźnicy, za pomocą nadziei zysku.

Ten epizod nastęrcza mi sposobność do powiedzenia kilku słów o administracji angielskiej w Indjach. W następnych rozdziałach napotkamy fakta, odnoszące się do niej, i dlatego uważam za rzecz konieczną dać tu kilka wyjaśnień ogólnych.

Anglja, do zarządzania blisko dwomaset milionami mieszkańców Indostanu i wyspy Ceylon, posiada bezwątpienia o połowę mniej urzędników, aniżeli sam jeden tylko departament Sekwany we Francji. Rozległy obszar Indyj podzielony jest na cztery prezydencje: Kalkuty, gdzie przebywa gubernator generalny, od którego zawisłe są prezydencje Madras i Bombay, oraz Ceylon, gdzie naczelną władzą również spoczywa w ręku gubernatora generalnego.

Każda prezydencja dzieli się na okręgi, w których naczelnikiem administracyjnym jest generalny poborca podatków, mający zawsze pomocnika, a ten najczęściej de facto bywa poborcą. Reszta wyższych urzędników składa się: z sędziego apelacyjnego i jego pomocnika, z sędziego trybunału, sędziego policyjnego, naczelnika robót publicznych i naczelnika policji. Wszyscy urzędnicy niżsi są Indjanami; utrzymanie ich bardzo mało kosztuje. Natomiast poborca i prezes sądu pobierają od 45 do 70 tysięcy rubli rocznej płacy: stosownie do wielkości okręgu.

Inne urzędy nie tak wysoko bywają płatne; zawsze jednak przywiązane do nich pensje są o wiele większe od tych, jakie we Francji otrzymują prefekci, lub członkowie rady państwa.

Systemat angielski da się określić w kilku słowach: mało urzędników, przy ogromnych płacach, aby zapobiedz przedajności; słowem jaknajmniej pisaniny, jaknajmniej biurokracji, która niczemu nie zaradza, a dużo kosztuje. Anglja nie zaprowadziła w Indjach całej armji urzędników, mających się wzajemnie pilnować, a w rzeczywistości zmagających się owszem na wspólne wyprawę po złote runo. Żąda tylko, aby podatki wpłynęły do skarbu, mniejsza o to za pomocą jakich środków. Poborcy generalni pędzą gnuśne i zbytkowe życie nabałów, wydają krocie na skandaliczne biesiady i mieszkają zwykle o kilkadziesiąt mil od swej prezydencji, nie znając żadnego prawa, żadnego hamulca: ich wola wszechwładna, ich zły lub dobry humor są prawem jedynem i stanowczem. Poboru podatków dopełniają najniżsi urzędnicy, którzy nie szczczędzą bastonady i nie wzdrygają się przed użyciem tortury, gdy idzie o wydarcie ostatniej rupji Indjaninowi. Jeśli wioska nie zdoła opłacić całkowitej należności, zabierają zboże, świecidła kobiet i dzieci, nawet wo-

ły i narzędzia rolnicze. Komuż się użalić poborcy?... Ależ wszystko to dzieje się z jego rozkazu i we własnym jego interesie, nie zgani więc nigdy swoich podwładnych.

Wszystko co mógłbym powiedzieć w tym przedmiocie, nie dorówna odkryciom i oskarżeniom, zanoszonym niejednokrotnie w parlamencie angielskim... Niestety! trzeba jednak dodać, że mówcami nie uczucie ludzkości powodowało, ale chęć obalenia ministerjum, zapomocą jakiegoś stanowczego ciosu.

Ktokolwiek był obecny poborowi podatków w jakiej wiosce, daleko od wielkich miast leżącej, i nie zapłakał nad losem nieszczęsnych rolników, ten chyba kamienne ma serce. Prawda że Indjanin woli postradać życie niż majątek, że doświadczając przez tyle wieków łupieżstwa Mongołów, Muzułmanów i Europejczyków, nauczył się zakopywać wszystko co posiada w łożyskach wyschłych potoków, pod drzewami, w niedostępnych miejscach... i udając niedostatek, używa wszelkich możliwych wybiegów, aby być zaliczonym między nędzarzy. Ale jestem przekonany, że nie czyniłby tego, gdyby Anglicy, zamiast wyciskać zeń grosz ostatni, ustanowili podatki stałe i umiarkowane.

Widziałem nieszczęśliwych, którzy po zaspokojeniu należności do skarbu, netylko nie mieli czem obsiać pól swoich ale nawet nie

byli w możności kupienia miarki ryżu na wyżywienie rodziny. Zrzuwany rolnik zwykle wtedy najmuje się jako robotnik (oali), albo u jakiego plantatora, albo u zawiadowcy robót publicznych, ale wszędzie uważany jest jako przedmiot wyzysku, i w całych Indjach nie znajdzie zakątka, gdzie mógłby w spokoju żyć z owoców swej ciężkiej pracy. Plantator, przy wypłacie, obetnie mu przynajmniej jedną ana (8 kop.) na każdej rupji (75 kop.), zawiadowca robót urwie bodaj dwa pais (3 kop.) z zarobku dziennego, wynoszącego zaledwie dziesięć pais, — a jeśli skrzywdzony robotnik śmie się uzalić, to niechybnie zostanie stawiony przed sędzią, jako obwiniony o niekarność, o groźby i podżeganie innych robotników, — i za to wszystko otrzyma dziesięć lub dwadzieścia bambusów, aby się nauczył cierpieć i milczeć.

Ilość uderzeń zależy zresztą od pory w jakiej stawi się przed sędzią policyjnym. Jeżeli tego dnia było dużo spraw do załatwienia, a nieszczesny Indjanin przybywa na końcu i przez to naraża jego sędziowską moc na zwłokę w śniadaniu, to z pewnością wymiar kary się powiększy; jeżeli przeciwnie trafi na szczęśliwą chwilę spokojnego trawienia, to „master John Bull“ skłonny jest wówczas do pobłażliwości i nazna-

cza karę jaknajmniejszą: cztery lub pięć bambusów. Z tego powodu istnieje w Indjach wyrażenie: „otrzymać wyrok przed, lub po winie Porto“.

Niechaj czytelnik nie sądzi, że są to tendecyjnie wymyślone bajeczki. Anglicy nie tają się wcale, że zagarnęli Indje tylko dla robienia pieniędzy. Indjanin jest dla nich towarem, który, bądź co bądź, musi zyski przynosić i — zwykłym trybem kupiectwa — z bogacać wszystkie ręce przez które przechodzi. Gdyby zaprowadzono surowy nadzór, gdyby przetrzebiono urzędników, gdyby naznaczono podatki sprawiedliwe i umiarkowane, — jednym słowem, gdyby miano na oku dobrobyt i rozwój kraju, to Anglia, mówiąc językiem pospolitym, nie mogłaby końca z końcem związać; tymczasem dochody z Indyj muszą pokrywać wydatki na jej marynarkę, na procenta olbrzymiego długu i na wysokie płace urzędów cywilnych i wojskowych. We Francji urzędnik z bogacającą się jest zawsze osobliwszem zjawiskiem i jego honor niechybnie na tem szwankuje, choćby nawet jaki wujaszek z Ameryki przyczynił się do tego pomnożenia fortuny. W Indjach, przeciwnie, człowiek nierobiący majątku pożywanym jest za istotę o przytępiionych władzach umysłowych.

Jeśli kto żąda koncesji na zakup gruntów,

na dostawy dla armji, na prowadzenie robót publicznych, potrzebuje tylko rozrzucić kilkadziesiąt biletów bankowych we właściwych miejscach, a skutek będzie niezawodny. Dlatego też widziałem mosty, gmachy publiczne, dworce dróg żelaznych, walące się wkrótce po zbudowaniu, a za każdym razem przedsiębiorca zyskiwał krocie.

Nie chcę już nawet mówić o sądownictwie. Sir John Lawrence, który przed niedawnym czasem był generalnym gubernatorem Indyj, złożył w tym przedmiocie raport do ministerjum, zawierający takie rzeczy, jakich ja nie śmiałbym tutaj napisać. Poprzestaną więc na opisanie jednego tylko zdarzenia.

Rozmawiałem niegdyś z pewnym Francuzem, który w Indjach dorobił się około dziesięciu milionów franków, i wyraziłem mu zdziwienie, dlaczego nie pozbywa się swego generalnego zarządcy, Anglika rodem, który, biorąc dwadzieścia pięć tysięcy franków rocznej płacy, kradł conajmniej drugie tyle.

— Mój kochany, odrzekł Francuz, — badasz starożytności indyjskie i dlatego nie wiesz co się dzieje dokoła ciebie. Posłuchaj i wyciągnij dla siebie naukę.

Moje posiadłości przynoszą rocznie od siedmiu do ośmiukroć dochodu; z tego muszę

opłacić około stu tysięcy podatków. Mam mniej więcej dwa tysiące dzierżawców i kolonistów, samych Indjan, a Indjanie są nader kłótliwego usposobienia i wytaczają mi corok sto procesów, jeżeli nie więcej.

Kilka lat temu umarł mój pełnomocnik: przedstawiło się natychmiast kilkunastu kandydatów na jego miejsce, a między nimi młody Anglik, którego nie przyjąłem, oddawszy pierwszeństwo Francuzowi, znanemu mi oddawna z nieposzlakowanej uczciwości. W kilka dni po instalacji tegoż wróciłem do Kalkuty, a wkrótce potem otrzymuje list, że kilkadziesięciu dzierżawców wytoczyło mi procesa. Odpisałem zarządcy, aby był spokojny, ponieważ jest-to zwyczajem dzierżawców, że lubią popróbować szczęścia z nowymi pełnomocnikami, i że odrobina energii z jego strony zdoła ugasić ten ogień słomiany.

Byłem jednak w błędzie: prawie wszyscy przeciwnicy wygrali procesa w sądzie obwodowym, a inni, zachęceni przykładem i powodzeniem poprzedników, zaczęli także zanosić skargi. Zaniepokojony tym obrotem sprawy, udałem się natychmiast na miejsce, aby osobiście kierować swojemi interesami i zaraz na wstępie dowiedziałem się, że sędzia jest stryjem tego Anglika, któremu odmówiłem u siebie posady. Cóż miałem ro-

bić? Walczyć, bez dotykalnych dowodów? Byłbym ciągle przegrywał i mógłbym utracić cały majątek. Musiałem więc ustąpić. Oddałem Francuza, wynagrodziwszy go sowsicie za doznany zawód, i przyjąłem na jego miejsce domniemanego sprawcę tych wszystkich zawiślań. I cóż pan powiesz? nietylko procesa znikły, jak pod dotknięciem laski czarodzieja, ale obrotny Anglik potrafił nawet wyjednać unieważnienie wyroków, zapadłych poprzednio na korzyść dzierżawców.

To opowiadanie nie potrzebuje komentarzy.

Jeszcze gorzej przedstawia się uczciwość w dziedzinie politycznej. Nie tutaj jest miejsce do skreślenia historii wszystkich zdzierstw, jakich dopuścili się gubernatorowie angielscy w Indjach, — od Warrena Hastings'a, łupieżcy miast Agra, Delhi, Allahabad, aż do lorda Dalhousie, który na korzyść kompanji wschodnio-indyjskiej skonfiskował królestwo Aoude, na mocy wyroku, będącego niejako rękawicą bezczelnego wyzwania, rzuconą obyczajom ludów ucywilizowanych. Nie wdając się w szczegóły, można powiedzieć, że każdy szmat ziemi zdobywano tu podstępem, przekupstwem, kradzieżą, oszustwem i gwałtem. Każdy rajah, (władca udzielny) tracił w ten sposób swoje ziemie. Jednemu

Anglja ofiarowywała pomoc wojskową, pod pozorem że go osłaniać będzie od wrogów, — a stanąwszy jedną nogą w jego państwie, złotem i obietnicami ujmowała sobie dworzan rajah'a, gdy zaś ten usiłował odzyskać niezależność, wtrącała go do więzienia i konfiskowała mu królestwo. Z innym zawierała traktat zaczepno-odporny, w tym jedynym tylko celu, aby mózł na jego dworze utrzymywać posta, z tytułem rezydenta, a przy rezydencie... doktora. W rok lub w kilka miesięcy potem rajah umierał na niestrawność, lub na jakąbądź inną chorobę, a doktor, robiąc obdukcją, ubolewał nad żarłocstwem Indjan. Opróżniony tron zajmowało — pod opieką Anglji — kilkoletnie dziecko, syn lub synowiec zmarłego. Zwykle jednak młodzi władcy umierali przedwcześnie. Jeżeli zaś którykolwiek wyplatał swoim dobroczyńcom takiego figla, że doszedł lat męskich, pomimo troskliwej opieki, jaką był otoczony, wtedy zabraniano mu żenić się, pod karą natychmiastowego strącenia z tronu, żeby nie mógł zostawić po sobie prawych następców.

Kiedyindziej, pod pozorami przyjaźni, albo zapomocą otwartych pogroźek, zabierano skarby nieszczęsnego rajah'a i używano ich na zbuntowanie jego własnych żołnierzy, których nie miał czem płacić.

Wspomniałem o zaborze królestwa Aoude. Władca tego państwa oddał był Anglii wszystkie swoje skarby i pożyczył jej swoich żołnierzy... im więcej żądano, tem więcej dawał, dzienniki angielskie nazywały go przyjacielem królowej. Nieszczęsny rajah drżał przed rezydentem angielskim, dziękował mu na kolanach za każdą pożyczkę, której mu zwykle chętnie udzielano, za każdą krzywdę, osłanianą pozorami dobrodziejstwa. Należało dozwoić mu umrzeć spokojnie na tronie i czyn taki byłby nadał choć pozór szlachetności całej tej sprawie. Ale rajah miał syna, młodego, zdolnego, przedsiębiorczego, który mógł stać się niebezpiecznym dla Anglii.

Pewnego dnia zwabiono nieszczęsnego rajaha do Kalkuty, gdzie lord Dalhousie oświadczył mu, że „nie umie rządzić swoim państwem“. Królestwo Aoude zostało przyłączone do posiadłości angielskich, a rajahowi wyznaczono pałac na więzienie i pensję dożywotnią, z której zaledwie zdołał się utrzymywać. Rząd angielski zgromił surowo to ohydne łupieżstwo, potępił swoich urzędników, ale królestwa zwrócić nie chciał. Wygodny to sposób zachowywania pozorów moralności, bez utraty materialnych korzyści.

Rewolucja z 1857 roku była następstwem

tego bezwstydnego zaboru; nosiła ona cechę religijną, a sprawcami jej byli Muzułmanie. Wszędzie zwłaszcza w prowincjach północnych, widne są po dziś dzień ślady panowania wyznawców Mahometa, żyjących wspomnieniami i nadzieją. Stoją jeszcze pałace i meczety; święto ramadhan odbywa się nad Gangesem, zarówno jak nad Bosforem; każdego ranka muezzin obraca się twarzą do Mekki, wzywając Allacha, aby zesał wybawcę; wszędzie pamięć przeszłości utrzymuje wiarę w przyszłość i nienawiść ku ciemiężcy. W dniu w którym Rossja, przebywszy Afganistan, posunie się do nizin Himalaja i Bengalu, aby wypłoszyć Anglików z Indostanu, w dniu tym znajdzie gotowe, potężne przymierze: trzydzieści milionów Muzułmanów, żądnych zemsty, chwyci za oręż, przy pierwszym hasle do walki. Zdobycie kolejne wszystkich prowincji, składających wyspę Ceylon, zostało dokonaniem, tak jak w całych Indjach, zapomocą złamanych przysięg zdeptanych traktatów i okropnych rzezi, spełnianych na wojskach, broniących niezawisłości swych władców. Na czem jednak polega zręczność Anglii? Oto wmawia w Europie, że rozszerza w Indjach cywilizację, gdy przeciwnie utrzymuje cały półwysep w stanie zezwierzęcenia.

Ale Anglikom wiele na tem zależy, aby

podróżnik, władca europejski lub mąż stanu, zwiedzający Indie, nie mogli domyślić się niewoli i poniżenia mieszkańców. Dla tego celu przepelniono miasta znaczniejsze, jak: Madras, Kalkutę, Bombaj, Colombo, bibliotekami, szkołami bezpłatnymi, szpitalami i zakładami dobroczynnymi. Wszystko to urządzone jest wzorowo, i jako świadek bezstronny muszę wyznać, że gdyby całe Indie administrowano na wzór miast wymienionych, to Anglja byłaby na Wschodzie wzorem filantropji i moralności. W rzeczywistości wprowadzie dzieje się wprost przeciwnie, ale złudzenie jest tak wybornie zorganizowanem, że podróżny wraca do Europy, pełen zdumienia i zachwytu, i nie domyśla się nawet, że o kilka mil za tą szkołą medyczną za temi bibliotekami, ogrodami botanicznymi i szpitalami rozpoczyna się samowola i bastonada. Niech kto poważy się na ulicach Kalkuty uderzyć Indjanina, to zapłaci karę, lub pójdzie do więzienia; ale niech ten sam człowiek zamorduje tegoż Indjanina o kilkanaście mil od miasta, to na usprawiedliwienie swoje potrzebuje tylko zeznać sądownie, że bronił własnego życia, a policja wówczas zapisze w księdze, że Indjanin „umarł z przypadku“. Anglja bowiem za nic w świecie nie zechce osłabić przewagi moralnej Eruopejczyków nad krajowcami.

Byłem świadkiem pobytu księcia Brabancji, dzisiejszego króla belgijskiego w Kalkucie: wyjechał zachwycony mądrością i moralnością Anglji. Gdyby podróżował incognito i wejrzął głębiej w stan rzeczy, byłby inaczej ocenił pozłotę, którą Anglja pokrywa swoją chciwość i ucisk. Byłby widział sędziów angielskich, skazujących na bastonadę Indjan za to, że poważyli się nosić sandały, wbrew przepisom swojej kasty... byłby widział, w latach głodu, Indjan umierających tysiącami na drodze, a rząd w Kalkucie patrzący na to obojętnem okiem i niezabraniający wywozu ryżu do Europy. Bo czyż można tamować wolność handlu? Cóżby na to powiedział John Bull, w takich właśnie krytycznych chwilach robiący najgwałtowniejsze operacje handlowe?

Oto fakt, jeden z tysiąca.

W roku 1866 plon ryżu chybił w całym Bengalu i w części Indyj południowych. Krajowcy, przekonani że Bóg zesłał na nich tę karę, umierali bez szemrania.

Prywatne osoby założyły w Kalkucie towarzystwo zapomogi, zebrały znaczne składki i mianowały komitet, mający zatrudnić zakupem ryżu i rozdzielaniem go między potrzebujących.

Niebawem zaczęto w najbezczelniejszy

sposób wyzyskiwać to szlachetne przedsięwzięcie. Jeden z najpierwszych domów handlowych w Kalkucie, dowiedziawszy się że komitet ma w rękę znaczne summy,—dziesięć lak rupij czyli 750,000 rs., — zakupił wszystkie zapasy ryżu w mieście i okolicy i zaczął je ładować nader ostentacyjnie na trzy umyślnie w tym celu wynajęte okręty. Delegowani komitetu, nie mogąc nigdzie dostać ryżu, udali się do właścicieli owego domu handlowego, którzy oświadczyli, że bardzo chętnie oddaliby cały zapas po cenie kupna, ale nabyli takowy nie dla siebie, tylko na rachunek różnych kupców z Europy i że byliby przed tymiż odpowiedzialni za straty. Komitet przeto musiał zapłacić ryż po cenach targu londyńskiego i wynagrodzić zawód trzem wynajętym okrętom. Nikt nie wierzył tej bajeczce, ale trzeba było poddać się twardym warunkom, i dom handlowy, nie wyłożwszy ani grosza, zyskał w przeciągu kilku dni okrągłe półmilion franków. Nazajutrz cała Kalkutta słaawiła zrzeczność dyrektora owej firmy i ani jeden głos nie napiętnował tego czynu właściwym mianem.

Podczas wojny niewolno wywozić prochu, broni, słowem wszelkiego materiału wojennego. Lecz gdy tysiące ludzi umierają z głodu, swoboda handlu nie dozwalała na zabez-

pieczenie im środków do życia. Gdyby wywóz ryżu był wzbroniony, spekulacja podobna stałaby się niemożliwą i pieniądze przeznaczone na zmniejszenie nędzy nie posłużyłyby w części na z bogacenie niesumiennych kupców, ciągnących zysk z niedoli bliźnich.

Na tem kończę ogólne uwagi nad panowaniem Anglików w Indjach. Dalszy ciąg niniejszych wspomnień nastarczy mi niejednokrotnie sposobność zacytowania niemniej jaskrawych faktów, dotyczących tej kwestji.

Wyruszywszy z Batticott po skwarnych godzinach siesty południowej, stanęliśmy o zachodzie słońca w Jaffnapatnam, stolicy półwyspu cejlańskiego. Tutaj, wedle podania, wylądował Rama, rajah Indostanu i z potężnym wojskiem podążył na oblężenie miasta Lankapoor. Zbadanie początku tej słynnej wojny jest nader interesującym, gdyż Grecy zamieszkali w Azji Mniejszej przechowali jej wspomnienie w swych zamglonych tradycjach, a Illiada jest tylko echem tej tytanicznej walki.

Oblężenie Troi jest może niczem innym, jak oblężeniem Lankapoor'u, a emigracje indyjskie wniosły z sobą do Azji Mniejszej wspomnienie tego wypadku stanowiącego epokę w historii indyjskiej.

Rawana, strąciwszy z tronu swego brata

Viszoavas'a i pokonawszy innych rajahów Ceylonu, ogłosił się władcą całej wyspy. Miał on taką potęgę, że wszyscy królowie wielkiej ziemi — to jest Indyj — współbiegali się o jego względy. Jeden tylko Rama, król Aodhya (Aoude), ośmielił się stawić mu czoło, wygnanego bowiem Viszrawas'a przyjął na swym dworze i obsypał dobrodziejstwami.

Rama posiadał żonę, słynną w całej Azji z piękności; Ravana, pragnący zemsty, porwał ją i ukrył w niedostępnych lasach Ceylonu. Rama podróżował wówczas w górach Kanawer; dowiedziawszy się o porwaniu żony, wrócił z pośpiechem do kraju, wezwał wszystkich swych sprzymierzeńców i na czele olbrzymiej armii obległ Lankapoor, stolicę Ravany. Obleżenie trwało lat dwa-naście; Ravana poległ z ręki Ramy w pojedynku, poczem oblegający zdobyli miasto szturmem, i Rama odzyskawszy żonę, wrócił z nią w tryumfie do Aodhya. Najwierniejszy jego sprzymierzeniec, Sagriwa-Hannuman, wracając do swego państwa położonego na wybrzeżu koromandelskiem, zabłąkał się na morzu z powodu straszliwej burzy, i dopiero po długich wędrówkach dostał się do swego kraju, gdzie musiał staczać walki z krewnymi, którzy wtrąciwszy jego żonę do więzienia, zagarnęli dla siebie kró-

lewską władzę. Sagriwa-Hannuman pokonał wszystkich i tron odzyskał.

Te wypadki, o których podziśdzien świadczą pomniki historyczne, napisy i pagody, posłużyły za treść do wielu poematów. Naj-słynniejszym z nich jest Ramayana, który był niewątpliwie pierwowzorem Illiady, tak jak Sagriwayana, poemat opisujący przygody Hannumana, dał początek Odyssei. Według dokumentów autentycznych, — oprócz ksiąg świętych i tradycji, — według obrachowań astronomicznych, dokonanych przez starożytnych braminów, którzy główny południk przeprowadzili przez Lankapoor, zdobycie i zburzenie tego miasta zostało spełnione na sześć tysięcy lat przed emigracją szczepu indyjskiego, które zaludniły Azję Mniejszą, Egipt i Grecję. Z istniejących dotychczas śladów przekonywamy się, jak wysoko rozwiniętą była na Ceylonie cywilizacja za ówczesnej dynastji Somawanse; drogi publiczne, kanały, pomniki, dzieła sztuki stały na równi z literaturą i filozofią. Rzeźby, wykute w granicie, widne dziś jeszcze na sterczących wśród pustyni i połamanych kolumnach, mogą być porównane z najcelniejszemi tworamii sztuki greckiej, która zresztą w Indjach wzięła początek. Wiemy już dzisiaj, co mamy sądzić o tej starożytności klasycznej, którą podziwialiśmy dotychczas,

jako jedyną w dziejach ludzkości, ponieważ nie znaleźliśmy jej źródeł. Język grecki jest prawie czystym sanskrytem. Fidjasz i Praksyteles kształcili się w Azji na wzorach Dauthia, Ramany i Arjavosty. Platon jest naśladowcą Dżeminy i Vedy-Vjaza; Arystoteles niknie wobec Purwa-Mimansy i Uttara-Mimansy, których dzieła zawierają wszystkie systematy filozoficzne późniejszych wieków, od spiritualizmu Sokratesa i jego szkoły, od sceptycyzmu Pyrrhona, Montaigne'a i Kanta, aż do pozytywizmu Littré'go.

Ktoby wątpił o prawdziwości tego twierdzenia, niech odczyta zdanie poniżej zamieszczone; tłumaczę je dosłownie z Uttara-Mimansy, żyjącego, wedle, chronologii braminów, na 10,400 lat przed naszą erą.

„Możemy tylko badać zjawiska, stwierdzać ich obecność i uznawać je za prawdziwe względnie, ale ponieważ w całym świecie ani wrażenie dotykalne, ani wnioskowanie, ani zmysły, ani rozumowanie, jednym słowem nic nie dowodzi istnienia przyczyny najwyższej, któraby w danej chwili wywiodła świat z nicności, przeto nauka nie potrzebuje roztrząsać, czy to przyczyna najwyższa jest lub nie jest możliwą“.

Nazajutrz po przybyciu do Jaffnapatnam udałem się do domu handlowego, pod firmą: Steward Supraya-Chetty, do którego miałem

listy polecające i weksle. Właściciele ofiarowali mi natychmiast mieszkanie u siebie w mieście, swoje domy wiejskie i powozy na usługi. W całych Indjach potrzeba tylko być przedstawionym, — a weksel jest najlepszym ku temu środkiem — aby natychmiast uzyskać najrozciąglejszą gościnność; dom gospodarza można wówczas uważać za swój własny.

Firmę Steward-Supraya-Chetty składali dwaj Anglicy i jeden Indjanin, który wzmian za swoje miliony żądał aby jego nazwisko umieszczone było w akcie spółki. Tym to sposobem wielu Anglików młodych, zdolnych i czynnych dorabia się szybko olbrzymiego majątku. Przebywszy kilka lat w jakim domu handlowym, zawierają spółkę z bogatymi Indjanami z kasty Kommuty, którzy szaleją z radości, gdy mogą swoje nazwisko obok angielskiego położyć.

W Indjach południowych i na północnej stronie wyspy Ceylon, kasta Kommuty jest obecnie, po kście braminów, najpotężniejszą. W miastach leżących wewnątrz kraju, mniej dla Anglików dogodnych od miast nadmorskich, handel spoczywa wyłącznie w rękach kommuty'ch i chetty'ch, dwóch kast odrębnych, będących do siebie w takim stosunku, jak bankierowie i kupcy en gros, do kupców pomniejszych i meklerów. Obie te kasty,

złożone po większej części z ludzi pracowitych przebiegłych i umiejących w potrzebie wyłamać się z pod przesądów tradycyjnych, mogłyby stać się zawiązkiem ważnych reform, które zjednoczyłyby całe Indie przeciwko wspólnemu wrogowi, gdyby zabiegi Anglii nie wywoływały walk i zatargów niweczących w ciągu kilku miesięcy dwudziestoletnią pracę ludzi dążących do moralnego podniesienia swych współziomków.

Aby ten skutek osiągnąć, dość nadać jakikolwiek przywilej jednemu odłamkowi jakiejś kasty; natychmiast inne części tejże kasty wybuchają namiętną i długotrwałą nienawiścią. Ale jakież to przywileje! Trudno uwierzyć, żeby wieczną niezgodę między ludźmi można wznieść zapomocą takich błahostek, jak np. wydanie przepisu, pozwalającego bankierom nosić sandały poślaczane, a wzbraniającego noszenia takichże sandałów właścicielom okrętów i kupcom, należącym do tejże kasty co i bankierowie. Indjanin, dla osiągnięcia jakiegokolwiek wyszczególnienia, choćby śmiesznego, dzieciennego, zdolny jest poniżyć się i zbezcześcić, gdy wie, że to wyszczególnienie nadane jest przez zwierzchność i że nikomu bez pozwolenia przyznawać go sobie niewolno.

Pozostałem na obiedzie u panów Steward, a ich współnik, babu Supraya-Chetty, za-

prosił mnie wieczorem na herbatę. Europejczycy nazywają babu każdego Indianina z wyższych kast, mającego z nimi stosunki handlowe.

Supraya-Chetty, dowiedziawszy się że trudnię się badaniem obyczajów Indian, oznajmił mi, że za trzy dni odbędzie się w pagodzie Kandah-Swany największa uroczystość religijna obrządku malabarskiego i ofiarował mi pomieszkanie w swojej posiadłości, leżącej o pół mili od miasteczka Wannapane, gdzie wznosiła się owa pagoda, najpiękniejsza ze wszystkich, istniejących w prowincji Jaffnapatnam.

Na tę uroczystość przybywały zawsze niezliczone tłumy pielgrzymów ze wszystkich zakątków Indostanu; dlatego też przyjąłem bez wahania propozycję.

Religja braminów, wyszedłszy z pojęcia trójjedynego bóstwa, zatraciła swe pierwotne cechy dla celów ubocznych, to jest dla teokratycznych dążeń kapłanów, którzy powoli i stopniowo pogrążali niższe warstwy ludności w odmet śmiesznych lub ohydnych zabobonów, zachowując jednakże dla kast wyższych pojęcia czystsze i bardziej filozoficzne.

Uroczystość, o której mówić zamierzam, rozpoczyna się na pięć dni przed majowym nowiem księżyca, i kończy się w pięć dni

po nowiu; przez cały ten czas trwa ona bez jednej chwili przerwy, bez jednej sekundy spoczynku; bramini utrzymują zebrane tłumy w ciągłym natężeniu umysłowym i fizycznym.

Na kilkanaście dni przed rozpoczęciem świąt, bramini udają się, w towarzystwie bajaderek, do domów europejskich i zapraszają na uroczystość. Takie zaproszenie zawsze przyjąć należy i złożyć przytem ofiarę młodemu kapłankom pagody. Nikt nie może się uwolnić od tego podatku, egzekwowanego zresztą nader powabnie; jest-to jedyny zarówek wyłączny biednych bajaderek, które przez dziesięć dni muszą za to tańczyć na cześć Szilwy.

Pzez pierwsze osiem dni uroczystość odbywa się w obrębie świątyni, i tylko wyższych kast Indjanie mogą być obecni obrzędowi; lud gromadzi się w dziedzińcach i zdaleka słucha dźwięków muzyki i świętych pieśni.

Pierwszy dzień poświęcony jest czci Szilwy i uwielbieniu jego dobroczynnego wpływu na przyrodę za jego to sprawą wzrastają ryż, tak użyteczny człowiekowi, wonne kwiaty i wielkie drzewa, ocieniające ziemię swym liściem. W nocy śpiewa się hymn o tajemniczym związku boga z piękną Parwady, z której zrodził się bohater Kartonii,

pogromca olbrzyma Kayamangasaura, potwora o głowie słonia, pustoszącego ziemię.

Drugi dzień poświęcony jest modlitwom za dusze przodków; w nocy składa im się ofiary z ryżu gotowanego, miodu, masła i owoców. Po poświęceniu przez braminów, te ofiary mają własność niweczenia wszelkiej zmaży. Rozdziela się je pomiędzy obecnych, którzy o wschodzie słońca spożywają każdy swoją część i natychmiast biegną zanurzyć się w świętej sadzawce, znajdującej się w bocznej nawie świątyni.

Trzeciego dnia zebrani modlą się do Pularów, bóstw opiekuńczych nad wsiami i dobytkiem, posiadających wiele cech podobnych do rzymskich penatów. W nocy bramini błogosławią wizerunki tych bóstw, przyniesione przez pielgrzymów, którzy po ukończeniu uroczystości zabierają je do siebie i stawiają w domach lub na granicach swoich posiadłości.

Przez dzień czwarty i noc następną pobożni wysławiają rzekę Mahavelle-Guya, której wody oczyszczają z grzechów, podobnie jak wody Gangesu, a przez to pożądaną dla kalek i ubogich, niemogących ani jednego razu w życiu odbyć pielgrzymki do Wielkiej rzeki.

Piąty dzień przeznaczony jest na składanie ofiar; tłumy żarliwych pielgrzymów przy-

noszą ryż, oliwę, drzewo sandałowe, które wraz z kadzidłem służy do wyrobu wonnego proszku, palącego się w złotych trójnogach, lub wreszcie kosztowne naczynia. Braminowie umieją bardzo zręcznie podniecać dumę i miłość własną Indjan, aby zniewolić ich do współzawodnictwa w składaniu darów jaknajkosztowniejszych.

Dnia szóstego bramini zasyłają modły, aby złe duchy nie szkodziły przedsięwzięciom i zamiarom osób, które szczególniejszą w dniu poprzednim odznaczyły się hojnością.

Dnia siódmego, o świcie, bramin ogłasza, jakie w ciągu następnego roku będą główne dni feralne, poczem zanoszą się modlitwy do Sziwy, aby zesał płodność niewiastom bezdzietnym, które następną noc spędzają w odległych zakątkach pagody, pod opieką bożka.

Osmy dzień obrócony jest na przyozdobienie olbrzymiego wozu, na którym w dniu następnym posąg Sziwy obwożony bywa do koła świątyni.

Dziewiątego dnia przybywają zaproszeni Europejczycy. O godzinie jedenastej, wśród trzasku rac, blasku ogni bengalskich i odgłosu muzyki, dwa lub trzy tysiące Indjan, zapomocą sznurów z włókien kokosu, zapręga się do wozu wysokiego jak wieża

i pokrytego rzeźbami alegorycznemi. Nagle niezmierny okrzyk wzbija się w powietrze: bajadery, postępując miarowym krokiem, usuwają nabok tłumy, bramini rozpoczynają hymn święty i wóz rusza z miejsca. Dawniej całe setki fakirów rzucały się pod jego koła, poświęcając życie na ofiarę bożkowi; cała droga, którą wóz przebywał, naznaczona była krwią i zwłokami fanatyków. Obecnie zetknięcie się z Europejczykami wpłynęło na zmniejszenie liczby ofiar, ale zawsze jeszcze corocznie pięciu lub sześciu fakirów traci życie pod kołami wozu Sziwy.

Gdy już olbrzymi posąg obwieziony został dokoła świątyni, zgromadzonym wolno zejść się i spocząć, dla nabrania sił do obrzędu przypadającego na noc następną. Jest to chwila, w której cudzoziemcy mogą zwiedzać zabudowania i dziedzińce pagody, oglądać fakirów i sannyasów, to jest żebraków, którzy odbyli pielgrzymkę do Gangesu, lecz w sposób niezwykły: jedni odbyli całą drogę, mierząc ją swoim ciałem, to jest kładąc się na ziemię, powstając i kładąc się znowu, o długość ciała dalej. Inni przebyli kilkadziesiąt mil na czworakach; inni, związawszy sobie nogi, postępowali skacząc, inni znowu tylko co czwarty dzień sypiali i jadali.

Wszystkie te szaleństwa są jednak niczem,

w porównaniu z fanatyzmem fakirów, którzy z uśmiechem na ustach znoszą największe boleści, najsroźsze męczarnie.

Widziałem np. ogromne koło, szybko się obracające, na którym wisiało kilku fakirów, zaczepionych na hakach żelaznych, które wbili sobie w uda, plecy i ramiona. Obok nich leżał nagi fakir na desce, najeżonej długimi i ostrymi gwoźdźmi. Inny, wetknąwszy w usta kawałek trzciny, wciągał nią zupełnie do miski; skazał się dobrowolnie na milczenie, i aby zabezpieczyć się od złamania ślubu, przypiekl sobie wargi rozpalonem żelazem i zeszył je, zostawiwszy w środku ust mały tylko otwór, przez który mógłby połykać pokarmy wyłącznie płynne. Obok niego leżała na ziemi jakaś niekształtna i nieruchoma masa, zaledwie podobna do człowieka... Fanatyk ten ręce i nogi miał obezwładnione, wargi, nos, uszy i język obcięte... lecz oddychał jeszcze.

Inny leżał na węglach rozżarzonych, a ślubował nie podnieść się z nich, dopóki żaru własną krwią nie zagasi. Inny, zakopany w ziemi po szyję, znosił cierpliwie promienie zwrotnikowego słońca, padające mu prosto w oczy i na ogoloną czaszkę.

Lecz dość już tego, pióro wypada z ręki na wspomnienie tylu okropności...

Cóż skłania te ofiary do ponoszenia mąk

tak straszliwych? Co daje im tę nadludzką odwagę?

Odpowiemy na to w krótkich słowach. Bramini, dla utrzymania swej przewagi, potrzebują olśniewać spóółstwo dowodami nieograniczonego fanatyzmu. Oni to więc wychowują fakirów i usposabiają ich od lat najmłodszych do odgrywania roli męczenników, jeśli można odgrywaniem roli nazwać najohydniejszą rzeczywistość. Ten cel osiągnają przez rozdrażnianie umysłów nadzwyczaj zęcznie, bo wprowadziwszy, że tak powiem, w krew i kości adeptów wiarę w rozkoszne życie na łonie Sziwy, wpajają w nich przekonanie, że tę wieczną nagrodę osiągnąć można tylko przez bohaterkie znoszenie wszelakich męczarni, a zarazem, aby dać fakikom przedsmak owych nadludzkich rozkoszy, przypuszczają ich niekiedy do udziału w najwyuzdańszej rozpuście, w najwyższych uciechach zmysłowych, nauczając zarazem, iż jest-to słabem tylko wyobrażeniem tych uciech, jakich Trójca indyjska udziela wybrańcom swoim, którzy dla wiary gotowi są życie swoje w najstraszliwszych męczarniach poświęcić.

Lecz wracam do opisu uroczystości.

Dziesiątej nocy, poprzedzającej ostatni dzień uroczystości, odbywa się siedmiokrotne obwożenie posągu Sziwy po sadzawce

pagody. Trudno zaiste wyrazić piórem dziwną wielkość tego widowiska. Na trójnogach szczerozłoty płoną bez przerwy gałki kadzidła, które zarazem poruszają się szybko, zakreślają ogniste kręgi na czarnem tle nocy. Dokoła sadzawki zbudowany jest olbrzymi amfiteatr, na którego stopniach ciśnie się tłum różnobarwny, wydający fanatyczne okrzyki na cześć bożka. Ognie bengalskie i tysiące rac oświecają tę scenę... Nagle światła gasną, tłum milknie, ciemność zalega cyrk i sadzawkę, i tylko olbrzymi posąg bóstwa, tysiącem lamp oświecony, posuwa się bez szmeru po gładkiej wodzie; u stóp jego tańczą bajadery i bramini wznoszą hymny pochwalne... Za chwilę znów race strzelają w górę, znów ognie bengalskie mieszają swoje barwy i frenetyczne okrzyki ludu wstrząsają powietrze. Przy końcu siódmego opłynięcia sadzawki zapal dochodzi do szaleństwa: kobiety, mężczyźni i dzieci rzucają się w wodę, aby oczyścić się w falach uwięconych... Biada pariasowi któryby w tej chwili przekroczył progi świątyni! Gdyby go poznano, zostałby niechybnie rozszarpany w kawałki. Fanatyzm dochodzi do tak ostatecznych granic, że gdyby bramini wskazali zebranyemu gości Europejczyków jako przestępców względem Sziwy, ani jeden nie uszedłby z życiem.

Około czwartej rano, z jednakim ciągle przepychem, posąg bożka zostaje odprowadzonym do pagody, zkąd wyjdzie dopiero w roku następnym. Ognie i kadzidła gasną powoli, tłum rozpraszają się przy dźwięku trąb i tamtam'ów, — a cudzoziemiec, obecny uroczystości, wraca olśniony i oszołomiony do mieszkania, niezdolny w pierwszych chwilach zdać sobie sprawy z różnorodnych wrażeń.

Aby dać miarę przepychu, z jakim święta podobne się odbywają, powiem tylko, że pagoda Chelambrum w prowincji Karnatic mieści w sobie i utrzymuje ludność piętnastu tysięcy braminów; ztąd wniosek łatwy, jak ogromne muszą tam znajdować się bogactwa i jak olbrzymie dochody, dostarczane w znacznej części przez pielgrzymów.

Uroczystości w Indjach północnych, opisywane często przez podróżników, są niczem w porównaniu z przepychem, jaki towarzyszy obrzędom religijnym w prowincjach południowych, gdzie najazd muzułmanów mniej silnie dał się uczuć, gdzie nietolerancja wyznawców Mahometa nie zdołała zburzyć świątyni i zmusić Indjan do porzucenia wiary przodków. Tutaj — rzecz można — panowanie braminów trwa w całej swej potędze; tutaj schroniły się tradycje; tutaj istnieją olbrzymie pomniki religijne

i niemniej olbrzymie ruiny; tutaj Indjanin czuje się u siebie. Obce panowanie nie zdołało zmienić ani zwyczajów, ani charakteru ludności. Na Ceylonie można jeszcze napotkać wsie całe, zaludnione wyłącznie przez braminów, którzy między sobą używają tylko mowy świętej, to jest sanskrytu.

Religia braminów tak mało jest znana w Europie, że może stosownem będzie gdy na tem miejscu podam ogólny zarys pojęć, z których — podług mnie — wzięły początek wszystkie religie starożytne i nowoczesne.

Religia indyjska uznaje tylko jednego Boga, którego tak określa Manu w swych księgach prawodawczych: „Istnieje sam przez się i tylko duch może go pojąć; jest nieujęty dla zmysłów, niewidzialny, jest duszą wszystkich stworzeń i nikt nie zdoła go pojąć“.

W poemacie Maha-Barada znajduje się określenie następujące: „Bóg jest jeden, niewzruszony, niezłożony z części i nieposiadający kształtów, nieskończony, wszytkowiedzący, wszechmocny i wszędzie obecny. On wywiódł niebiosy i światy z otchłani nicości i pchnął je w przestrzeń bez końca; On jest dźwignią, istotą i przyczyną wszystkiego“.

Ten Bóg składa się z trzech osób; Brah-

my, Wisznu i Sziwy, stanowiących, wedle ksiąg świętych i braminów, niepodzielną trójcę (trimurti). Tajemnice tego trójjedynego bóstwa umysł ludzki zbadać może dopiero po odrzuceniu więzów ciała i spoczęciu na łonie Boga.

Brahma przedstawia pierwiastek tworzący; dlatego też po sanskrycku zowie się pitri (ojciec).

Wisznu jest synem Boga, wcielonym w osobę Krisny, pasterza i proroka, który dla zbawienia ludzkości poniósł śmierć hańbiącą i męczeńską.

Sziwa przedstawia żywioł zniszczenia i odrodzenia się przez przemianę; jest on wyobrażeniem przyrody, zawierającej w sobie dwa wręcz przeciwne pierwiastki: życia i rozkładu, rządzące wszelakiem stworzeniem.

Brahma stworzył najprzód dewas'ów, duchy niższe, czyli aniołów, któremi zaludnił niebo; ale wnet po swoim stworzeniu, część devas'ów zbuntowała się i Brahma wygnał ich z nieba, poczem stali się duchami złego, czyli demonami (rakchasas), i odąd czychają na zgubę ludzi. Dzielą się oni na kilka kategorii, posiadających różny stopień władzy i potęgi.

Po stworzeniu aniołów, Brahma, podług wyrażenia Manu, „rozwinął przyrodę“. Świat

bowiem był w chaosie, nieujęty, pogrążony we śnie". Bóg stworzył przeto najprzód ziemię, słońce, światło, gwiazdy, rośliny, zwierzęta, w końcu człowieka. Dwa istniejące w tym względzie podania: jedno sięgające czasów Vedy, drugie zaś utworzone przez braminów w celach oligarchicznych. Podług tego ostatniego (którego śladów nie napotykamy w księgach najdawniejszych), Brahma stworzył człowieka w sposób następujący. Z ust swoich wywiódł bramina, to jest kapłana; z ręki xchatrya, czyli króla; z uda dobył waysia, to jest rolnika; wreszcie ze swej stopy wyjął sudra, niewolnika. Tak to przodująca w plemienu indyjskiem część społeczeństwa obiekła przywłaszczoną samowolnie władzę w sukienkę religijną, założywszy zarazem podwaliny kastowości, która od kilkudziesięciu wieków jest główną przeszkodą rozwoju i postępu dwustumiljonowej ludności.

Podanie pierwsze, istniejące dotąd w całej pełni życia na wyspie Ceylon, dziwne sprawia wrażenie na Europejczyku, któremu zdaje się, że powtórnie słyszy opowieści, jakich uczył się na pamięć w latach dziecinnych. Podług tego podania Brahma, stworzywszy dwoje ludzi, Adhima i Hewę, umieścił ich w raju, na wyspie Lanka, dzisiejszej Ceylon, a następnie wygnał ich

stamtąd za nieposłuszeństwo swoim rozkazom. Gdy potomkowie Adhima i Hewy coraz gorszymi się stawali, Brahma postanowił ukarać ich potopem. Jeden tylko człowiek, Waiwaswata, ostrzeżony przez Brahme o grożącej zagładzie, zbudował statek i schronił się do niego ze swoją żoną i parą każdego gatunku zwierząt. Jak widziny, podanie to, przeniesione do Egiptu przez emigrację indyjskie, zostało przyjęte przez naród izraelski. Po wyjściu z arki, Waiwaswata doczekał się liczного potomstwa, które rozproszyło się po świecie. Podług innych podań, wraz z żoną rzucał z rozkazu Brahmy po za siebie kamienie, z których natychmiast powstałi ludzie.

Po wygnaniu pierwszych ludzi z raju, Brahma, wzruszony ich żalem, przyrzekł zesłać odkupiciela, który narodziwszy się z kobiety, miał zmaczać ich winę, przeniesioną w spadku na całą ludzkość. Prorocy indyjscy bezustannie w późniejszych wiekach przepowiadali przyjście syna Brahmy, który narodził się w Indjach południowych, w prowincji Madura. Podług świętego poematu Bagaweda-Gita, podający dokładny rodowód zbawcy ludzkości, dziewica Devanagy, pochodząca ze szczepu najstawniejszych królów indyjskich, została — wedle wyrażenia sanskryckiego — ocieniona boskimi promie-

niami Wisznu, który tym sposobem wcielił się w nią i przyszedł na świat jako Krisna, po sanskrycku boski, święty.

Rajah prowincji Madury, wuj Devanagy, człowiek okrutny i nienawidzony przez swych poddanych, dowiedziawszy się we śnie, że jego siostrzenica mieć będzie potomka, który go strąci z tronu, rozkazał ośadzić ją w więzieniu, aby nie mogła zostać matką. Tymczasem w tem właśnie więzieniu zstąpiły na dziewicę promienie boga Wisznu. Natychmiast po urodzeniu Krisny, wicher gwałtowny zabił strażę i wyłamał drzwi więzienia, a Devanagy z synem uszła do domu pasterza Nanda, którego wysłaniec boga Wisznu oświecił o wysokiej godności zbiegów.

Rajah Madury, dowiedziawszy się o ucieczce Devanagy, rozkazał aby w jego królestwie zamordowano wszystkie dzieci płci męskiej, zrodzone tejeż nocy co Krisna. Oddział żołnierzy, prowadzony przez demona (rakchasa), przybył do siedziby pasterza Nanda; lecz w tejeż chwili dziecię, ssące pierś matki, zaczęło nagle wzrastać i w kilka sekund zmieniwszy się w dziesięcioletniego chłopaczka, pobiegło grać wśród trzody owiec. Żołnierze, nie znalazłszy niemowlęcia poszli dalek.

Cały wiek dziecięcy Krisny upłynął wśród

ustawicznych niebezpieczeństw i zasadzek, lecz przysły odkupiciel wyszedł z nich zwycięsko i doszedłszy lat męzkich, zaczął głosić powrót do wiary pierwotnej, przekształconej przez braminów. Wędrował po całych Indiach, zatrzymując się w wioskach i na gościńcach, i tam opowiadał swoją naukę, popierając ją porównaniami, zastosowaniami do pojęcia słuchaczy. Lecz i w Indiach nie brakło faryzeuszów, obłudników, żyjących w świętem a zyskownem próżniactwie. Bramini, lękając się o swoją władzę, schwytali Krisnę i uwiązawszy go do drzewa, przeszli strzałami. Uczniowie Krisny, a na ich czele Ardżuna, ulubieniec odkupiciela, pośpieszyli na miejsce kaźni, chcąc oddać zwłokom nauczyciela ostatnią posługę; lecz nie znaleźli ciała, a drzewo, do którego był przywiązany, zakwitło nagle, wydając woń precudną.

Pomijam w tym krótkim zarysie wiele zajmujących szczegółów, a zakończę go kilkoma maksymami, zaczerpniętymi z nauki Krisny, pragnąc okazać jak wysokie były pojęcia moralne i ascetyczne, już na kilka tysięcy lat przed erą chrześcijańską. Oto przepisy dla kapłanów:

„Niech bramin codziennie dopełnia wszystkich ćwiczeń religijnych i umartwia swoje ciało.

„Niech lęka się zaszczytów ziemskich, jako trucizny, i niech gardzi bogactwami świata.

„Niech wie, że największą cnotą jest miłość bliźniego i poszanowanie własnej godności.

„Niech się chroni żądz zmysłowych, zazdrości, łakomstwa, uciech ziemskich napojów i gry.

„Niech się nie dopuszcza oszczerstwa i potwarzy.

„Gdy ubogi zapuka do jego drzwi, niech go wpuści do siebie i obmywszy mu nogi, usługuje gościowi, a zjada co ten zostawi, bo biedni są wybrańcami Pana“.

Uczniowie Krisny nie zachowali prostoty i czystości zasad mistrza; napotkawszy silny opór braminów, połączyli się z nimi i zyskali wzajemian udział w ich bogactwach i dostojęństwach. Księgi, zawierające naukę Krisny, podawane są dziś przez braminów za apokryfy, — łatwo pojąć dlaczego, a błąd ten dzieli większa część podróżników i uczonych.

II.

Fakirowie, Sannyassi i czarodzieje.

Półwysep Jaffnapatnam stanowi najbogatszą i najżyźniejszą część wyspy Ceylon. Mieści się w nim przeszło dwieście wiosek, których mieszkańcy gorliwie trudnią się rolnictwem. Rośnie tutaj wykwintny gatunek tytoniu, wywożony do całych Indji; bawełna, bardzo delikatna i mocna, poszukiwaną jest na targach łądu stałego; ryż daje plon dwukrotny w ciągu roku; indygo zajmuje ogromne obszary i wzrasta prawie bez uprawy; wszędzie rosną drzewa kokosowe, nawet w piaskach nadmorskich, a najwytworniejsze owoce zwrotnikowe: ananasy, banany, figi i t. d., niesadzone i niehodowane przez człowieka, zapełniają ogrody, pola i lasy.

Przemysł i handel przedstawiają tu: fabryki perkalików i muslinów, stanowiących główną część odzieży Indjanina; cukrownie, wyrabiające swój produkt z soku palmowego; cegielnie i olejarnie, urządzone w sposób nader patriarchalny. Orzechy, obrane z łupiny, wrzuca się do ogromnej stępy, zrobionej z pniaka wydrążonego, a tłuczek z twardego drzewa podnosi się i opada za pomocą bloka wprawianego w ruch przez słonia. Nadaremnie Europejczycy usiłowali przekonać Indjan o wyższości pras i kół wodnych, wykazując, że wyciskaniem w stępach traci się połowę cennego oleju; odwieczna rutyna oparła się wszelkim namowom do postępu.

Siedliskiem władz półwyspu jest miasto Jaffnapatnam; załogę składał wtedy pułk highlander'ów, zostający pod dowództwem pułkownika Maxwell, z którym natychmiast po przybyciu zawarłem znajomość. Samo miasto jest nieledwie najpiękniejszym ze wszystkich, jakie w życiu swoim widziałem. Przedstawia się ono jak olbrzymia kępa zieleni, z której tu i owdzie, między drzewami okrytymi różnobarwnym kwieciami, wychylają się domy z werendami i filarami rzeźbionymi, istne arcydzieła budownictwa polichromicznego. Trudno wyobrazić sobie, jak precudnie wyglądają te frontony, kapitele

kolumny, balustrady, różowe, zielone, niebieskie, popielate, fioletowe, żółte, na tle zieloności i wiecznie pogodnego nieba. Twórcami tych cacek są artyści z kasty mutsi, to jest malarzy; każde bowiem rzemiosło w Indjach stanowi odrębną kastę. Każdy człowiek, mający do czynienia z farbami, jest mutsi; farbiarze perkalu, malarze obrazów, pagod i domów, koloratorowie rękopisów, malarze na szkle, wszyscy należą do jednej warstwy społecznej niema różnicy między bazgraczem, wodzącym pendzel po tynkowanych murach, i artystą, odtwarzającym czyny bogów i bohaterów. Należy jednak powiedzieć, że każdy Indjanin przynosi z sobą na świat poczucie harmonji barw; intuicyjnie, bez żadnych wzorów, bez nauki, umie on łączyć w zgodną całość odcienia z pozorami rażące i jaskrawe.

Po kilkodziuowym pobycie w Jaffnapatnam, wybierałem się w dalszą drogę, gdy przyniesiono mi od pułkownika Maxwell list zapraszający na obiad, z nadmienieniem, że zobaczę jednego z najświetniejszych na całe Indie fakirów-czarodziejów. Znałem oddawna owych kuglarzy, kształconych przez braminów i skoro tylko mogłem, uczęszczałem na zdumiewające ich widowiska, dawane bez żadnych przyborów, a stokroć wyższe od sztuk pokazywanych przez europejskich

„profesorów magji“. Pośpieszyłem więc i teraz niezwłocznie do pułkownika. Co widziałem, opowiem, chociaż nie będę się kuśił o wyjaśnienie i wyciąganie wniosków; oświadczam tylko, że ręczę za rzetelność poniższego opisu. Zresztą wszyscy znający Indje potwierdzą moje słowa.

Po obiedzie przeszliśmy do sali umeblowanej na sposób wschodni; podano kawę w filiżankach z czarnej gliny, wyrabianych w Koimbatur, zasiedliśmy wygodnie na sofach niskich i miękkich, a pułkownik kazał wprowadzić czarodzieja.

W chwilę potem wszedł do sali Indjanin prawie nagi, chudy, śniady, o twarzy ascety, o wzroku błyszczącym i jakby natchnionym. Dokoła jego szyi, rąk, nóg i tułowiu obwiniete były węże, nieruchome i napozór uśpione.

Fakir przyłożył dłonie do czcła i wyrzekł zwykle słowa powitania:

— Salam, sahib, Bóg niech będzie z tobą! Jestem Szib-Szondor, syn Szib-Gutnal Mana.

— Salam, Szib-Szondorze, synu Szib-Gutnal-Mana, odparł pułkownik. — Oby ci danem było umrzeć z okiem zwróconem na wody Gangesu! Jesteś w domu rissaldara (dowódcy) białych sepojów.

— Czego żądasz odemnie?—zapytał Indjanin.

— Sława twoja doszła naszych uszu; pragniemy obaczyć twoją wiedzę.

— Sziwa skierował ku wam moje kroki, jestem mu posłuszny.

Powiedziawszy to, fakir usiadł sposobem tureckim na marmurowej posadzce; w tejże chwili węże zaczęły podnosić głowy, sycząc zlekka, bez oznak jednakże rozjątrzenia. Czarodziej wznosił oczy do nieba i wymówił trzy razy jakieś zaklęcie.

Indjanie wogóle przed każdą czynnością wzywają pomocy bóstw opiekuńczych; są osobne bóstwa powietrza, wody, lasów, zbóż, pokarmów, snu, podróży, pielgrzymów, przedsięwzięć handlowych i t. d. Na każdą czynność i na każdy przedmiot istnieje osobne zaklęcie i biada temu, ktoby o tem zapomniał, bo niewątpliwie złe duchy pokrzyżują jego pracę.

Wezwawszy opieki bóstw przyjaznych, fakir rozpoczął przedstawienie. Pomijam sztuki zasadzające się na zręczności i eskamotowaniu, o których dają nam pojęcie kuglarze europejscy, jakkolwiek żaden z nich nie dorównywa Indjanom, którzy nie mają ani stoliczków z dnem podwójnem, ani butelek niewyczerpanych i nie mogą nic ukryć na sobie, gdyż całe ich odzienie składa się z łokcia perkalu, obwiązanego dokoła bioder. Nie mogą też nic przysposobić, ponieważ popisu-

ją się w pierwszym lepszym miejscu, pod werandą, w ogrodzie, na dziedzińcu lub w pokoju, a potrzebne do sztuk swoich przedmioty biorą od domowników. O dwóch tylko rzeczach nadmienię: fakir dobył z ust swoich tyle kamieni, że trzeba było wywieźć je taczkami, a potem wyciągać zaczął z gardła pęki lianów ciernistych, które u nóg swoich zwijał w kłęb, na kształt lin okrętowych... Magicy europejscy powiedzą może, iż niema w tem nic nadzwyczajnego; ale niech spróbują dokonać tych sztuk w odzieży fakira i na trzy kroki od widzów. Co do zręczności, przytoczę fakt następujący: Indianin rzucał jednocześnie ośmioma kulami i ośmioma sztyletami, tworząc z nich nad głową swoją koła lub piramidy, stosownie do życzenia widzów. Węże tymczasem kręciły głowami, jakby z upodobaniem patrząc na popisy swego pana.

Był-to wszakże dopiero początek przedstawienia. Szib-Szondor ujął małą fajkę, zwaną wagudah, którą nosił uwiązaną do włosów, i zaczął dobywać z niej dźwięki, ludzako podobne do świergotu tailapaka (pijak oleju) ptaszka noszącego tę nazwę, z powodu że chciwie zjada tłuczone orzechy kokosowe w olejarniach.

Zadawaliśmy sobie pytanie, w jakim celu fakir obdarza nas takim koncertem, gdy spostrzeżliśmy że węże zaczęły po jednemu odwijać się od jego ciała i zesuwać na posadz-

kę, poczem natychmiast podnosiły głowy i trzecią część ciała do góry, kołysząc się w tę i ową stronę, postłuszne dźwiękom fajki. Było ich dziesięć, z gatunku cobra-capel, najjadowitszego ze wszystkich węzów Indyjskich.

Nagle fakir rzucił fajkę i zaczął przesuwać dłonie ponad węzami, utkwivszy w nie swoje oczy, dziwnym blaskiem świecące; zresztą ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął; zdawało się, jakby głowa cała odlaną była ze spiżu. Choć fakir nie spojrzał na mnie ani razu, jednakże wkrótce doznałem dziwnego uczucia jakby osłabienia i musiałem odwrócić oczy, aby uniknąć uroku. Wszyscy obecni takiegoż samego wpływu doświadczali.

Podczas tej operacji magnetycznej, mały szokra, chłopiec pilnujący węgli do fajki, płonących na fajerce, ulegając potędze magnetyzmu, osunął się na posadzkę i usnął. Pięć minut tak upłynęło. Nie patrzyliśmy już na węże, bo wszyscy byliśmy w stanie nawpół zaledwie przytomnym, gdy czarodziej powstał, przeciągnął dłońmi dwa razy nad szokrą i rzekł: „Nerupu konda rissal-dar“, to jest: podaj ognia dowódcy. Rzekączyście, cygare sir Maxwela zgasło. Chłopak powstał natychmiast i wypełnił rozkaz. Wstrząsano nim, targano go za włosy: zno-

sił wszystko, bez znaku życia. Dawaliśmy mu rozkazy, lecz nie poruszył się, dopóki fakir nie polecił mu wrócić na poprzednie miejsce. Winienem objaśnić, że chłopiec ten, będąc przytomnym, nie ośmieliłby się zrobić kroku, bez upoważnienia pułkownika.

Spojrzeliliśmy wtedy na węże, które dziwne przedstawiały widok: obezwładnione płynem magnetycznym, leżały bez ruchu na posadzce, jak gałęzie ciarustu. Wpływ czarodzieja był tak nagły, że zasypiając, nie miały czasu zwinąć się w kłębek, jak zwykłe.

Przystąpiliśmy bliżej i na wezwanie fakira wzięliśmy węże do rąk, lubo nie bez obawy. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy spostrzegli, że mogliśmy je podnosić za ogon, jakby kije... były w stanie zupełnego zeszywnienia. Obejrawszy węże dokładnie, położyliśmy je znów na posadzkę, poczem Indjanin budził ją kolejno; każdy wąż, odzyskując czucie, czołgał się ku czarodziejowi i okręcał dokoła jego rąk i szyi.

Z równą łatwością Szib-Szondor doprowadził śpiącego chłopaka do stanu katelepsji, w którym wszystkie jego członki były sztywne jak kawał drewna; kilkakrotnie, stosownie do naszych żądań, powracał mu przytomność, usypiał go i obezwładniał znowu.

Szib-Szondor, na zakończenie, dawał do-

wody wpływu swojej woli na martwe przedmioty. Nie sposób opisywać wszystkiego, bo dziś jeszcze, lubo widziałem na własne oczy wszystkie jego sztuki, lękałem się, czy nie ulegałem wtedy jakiemuś niepojętemu omamieniu. Tak na przykład fakir, nie ruszając się z posadzki, wzrokiem swoim gasił świece, które zapalono w najodleglejszych zakątkach pokoju; skinieniem ręki poruszał sofy na których siedzieliśmy, otwierał i zamykał drzwi i t. p.

Może kto powie że źle widziałem, że wszystko to zasadza się na zręczności i wielkiej liczbie komparsów. Być może... Nie wdaję się w rozumowania; opowiadam tylko i dodaję, że tysiące osób widziały i widzą codziennie podobne sztuki, a czy choć jedna z nich odgadła tajemnicę i czy zdoła którąkolwiek z tych sztuk wykonać? Powtarzam że widowisko nie odbywało się w teatrze, gdzie maszynerje przychodzi w pomoc kuglarzowi; żebrak nagi, siedzący o trzy kroki od widza na podłodze, owłada jego rozum i zmysły. Bywałem na takich przedstawieniach razem z lekarzami, wojskowymi, profesorami, ludźmi posiadającymi rozum i wykształcenie, a każdy mówił wychodząc: „Jakież to upokorzenie dla ludzkiej wiedzy!“ Ile razy widziałem węże obezwładnione i leżące na podłodze na kształt zeszytych gałęzi,

mimowoli nasuwało mi się na pamięć podanie biblijne o Mojżeszu i kapłanach egipskich.

Szib-Szondor zakończył widowisko sztuką nadzwyczajną: pośpieszam dodać, że o niej wzmiankował już wielu podróżnych. Zażądał laski i oparłszy lewą dłoń na gałce, wznosił się powoli, krzyżując nogi po turecku i zawisł nieruchomo na łokieć przeszło od ziemi, bez żadnej widocznej podpory, oprócz owej laski. Jest to może tylko zręczność gimnastyczna, ale wyznać trzeba, że najsłynniejszy akrobata europejski nie potrafi tego dokazać.

Otrzymawszy zapłatę, fakir przyłożył dłoń do czoła, na znak pożegnania, i oddalił się w kierunku pagody Sziwy, do której należał. Wszyscy fakirowie czarodzieje są sługami braminów, którym oddają cały swój zarobek. Są oni nadzwyczaj wstrzemięźliwi, nieczuli zarówno na obelgi, jak na pochlebstwa, a lud indyjski poczytuje ich za świętych i wierzy, że modlitwami i umartwieniami ciała doszli do posiadania tajemnic nadziemskich. Skoro fakirowie zbiorą dostateczną kwotę, wtedy wracają na kilka dni do pagody i razem z braminami i bajaderkami oddają się ucztom i hulankom, na cześć bogini Anumati. Grecja, owa córka Indyj z obyczajów i języka, przechowała wspom-

nienie tych zabaw w uroczystościach eleuzyjskich.

Około północy opuściłem gościnne progi pułkownika i udałem się z powrotem do bengalów,—oberży dla cudzoziemców. Przechodząc przez część miasta zamieszkałą prawie wyłącznie przez Indjan Malabarów, spostrzegłem z podziwem, że prawie wszystkie domy były jeszcze oświetlone, a na werandach gromadziła się ludność obojga płci, słuchająca uważnie nosowego śpiewu fakira lub sannyasa. Chciałem już zapytać o przyczynę tego ogólnego czuwania, gdy przypomniałem sobie, że miesiąc maj (majassi) w całych Indjach poświęcony jest widowiskom teatralnym, opowiadaniom i deklamacji poematów bohaterskich lub religijnych, i że wedle ogólnego zwyczaju, każdy naczelnik rodziny przyjmuje do domu na ten czas śpiewaka, fakira lub sannyasa, który przez większą część nocy opowiada baśnie, deklamuje wiersze i pokazuje sztuki kuglarskie dla wszystkich domowników.

Wiemy, że sztuka, filozofia i literatura indyjska istniały na tysiące lat przed naszą erą; otóż i powieści, opowiadane przez fakirow, czerpane są po większej części z ogromnego i nader dawnego zbioru, zwanego Ponczatandra, który każdy fakir umie na pamięć

i powtarza dosłownie podczas nocy majowych.

Przybywszy do oberży, natrafiłem na podobną uroczystość. Kandassamy i Amudu sprowadzili na werandę opowiadacza, a dźwięki jego głosu przywabiły wszystkich Indjan z sąsiedztwa, którzy nie mogli sobie pozwolić na taki zbytek. Przysiadłem się do nich i z zajęciem słuchałem opowiadań, których autorem jest bramin Wisznu-Sarma, w Europie, nie wiem dlaczego — nazwany Pilpajem.

Oto jedno z tych opowiadań.

Przed najazdami ludów z północy, w czasach gdy plemiona indyjskie używały pokoju i szczęścia pod rządami władców ze swego narodu pochodzących, król pewien, zwany Krisna-Roya, panował nad najżyźniejszą częścią krain południowych. O jedno troszczył się tylko: pragnął pozyskać miłość swych ludów, wzamian za szczęście którego był sprawcą, i, aby dopiąć tego celu, ze szczególną troskliwością wybierał swoich ministrów i powierników, dając zawsze pierwszeństwo takim, których rozum i doświadczenie były rękojmią, że usta ich dobre tylko rady wydawać będą.

Appadży, pierwszy minister króla, był zarazem jego ulubieńcem i powiernikiem, ponieważ posiadał dar mówienia prawdy,

pod lekką zasłoną przenosi, zawsze trafnych i głęboką zawierających naukę.

Pewnego dnia, gdy minister był sam na sam z królem, Krisna-Roya zadał mu następane pytanie:

— Appadży, niejednokrotnie zdarzało mi się słyszeć, że ludzie, we wszystkich rzeczach dotyczących religii i obowiązków, postępują machinalnie, drogą przyjętego zwyczaju; że obrzędy i obyczaje, choćby najnierozsądniejsze, wykonywają na ślepo, nie zastanawiając się nad ich potrzebą i znaczeniem. Chcę przeto abyś mi dowiódł, czy zdanie to jest słusznem i czy prawdę mówi stare przysłowie: Dźatra marulo? Dżena marulo?... Dżenas marulon! (Co jest śmiesznem? zwyczaj, czy ludzie stosujący się do nich?... Ludzie są śmieszni!

Appadży, ze zwykłą sobie skromnością, odrzekł, że nie może dać natychmiast odpowiedzi i zażądał kilku dni czasu do namysłu. Wróciwszy do siebie, rozmyślał długo i narzeczcie kazał przywołać pasterza, który pilnował jego owiec: był-to prostak, ciasna głowa jak zwykle ludzie tego stanu. Gdy przyszedł do ministra, Appadży tak przemówił:

— Kuruba, zrzuć natychmiast odzież pasterską, chcę bowiem, abyś przez kilka dni udawał sannyasa. Natrzyj przeto ciało swo-

je popiołem, weź w jedną rękę kij o siedmiu sękach, w drugą tykwę na wodę, weź pod pachę skórę gazelli, na jakiej zwykle siadają święci pokutnicy, i podąż bez zwłoki na górę sąsiednią. Znajdź tam jaskinię; wejdź do niej, jako czynią sannyasi: oczy spuścisz w ziemię, jedną dłońią zatkasz sobie nozdrza, a drugą połóżysz na głowie. Pamiętaj, abyś mnie nie zdradził i spraw się dobrze. Może być że król ze swoim dworem uda się do jaskini, aby ciebie zobaczyć; ale pomnij, że ktokolwiekbyś przyjdzie, czy ja, czy sam król nawet, musisz pozostać nieruchomy jak skała, nie spojrzeć na nikogo, nie przemówić ani słowa, i choćby cię dręczono, choćby ci wszystkie włosy wrywano, ani jednym poruszeniem nie zdradź, że cię to boli. Oto mój rozkaz, Kuruba; jeżeli go przekroczysz, postradasz życie. Jeżeli przeciwnie wykonasz wszystko jak żądam, otrzymasz sowitą nagrodę.

Biedny pasterz, nawykły przez całe życie tylko paść owce, nie czuł w sobie wcale powołania do stanu sannyasa; ale słysząc groźną mowę swego pana, uznał że najlepiej uczyni, idąc ślepo za jego rozkazem. Przebrał się więc corychlej i powtarzając sobie w pamięci zalecenia Appadży, udał się w drogę do jaskini.

Wkrótce potem Appadży poszedł do pa-

łacu, gdzie zastał króla, otoczonego całym dworem. Przystąpił ku niemu z wielką powagą i przemówił w te słowa:

— Wielki władco, w chwili gdy otoczony mądrymi doradcami przemysłasz jakim sposobem uszczęśliwić swoje ludy, przebacz, że przerwę to zatrudnienie, aby ci zwiastować, iż zabłysną dzień, w którym bogowie, uradowani blaskiem cnót twoich, postanowili dać ci dowód widzialny swej łaski i opieki. Oto podczas gdy to mówię, w państwie twojem, w pobliżu stolicy, dzieje się rzecz nadzwyczajna. Na stoku sąsiedniej góry istnieje jaskinia, w której raczył zamieszkać święty pokutnik, zesłany niewątpliwie przez samego Wisznu. Zagłębiony w rozważaniu doskonałości Parabrahmy, obojętny jest i nieczuły na sprawy ziemskie; jedyny jego pokarm stanowi powietrze, którym oddycha; słowem, rzec można, iż tylko ciało jego przebywa na tym świecie, a wszystkie myśli i uczucia zjednoczone już są z bóstwem. Jestem przekonany, że przez cudowne pojawienie się tego świętego człowieka w twojem królestwie, bogowie dają ci dowód, jak życzliwie opiekują się tobą i ludem twoim.

Mowa ministra przejęła króla i dworzan zachwytem. Król postanowił udać się natychmiast do jaskini i pragnąc nadać tym odwiedzinom cechę uroczystą, odpowiednią

wysokiej godności pokutnika, rozkazał, aby cały dwór i liczny oddział wojska mu towarzyszył, a oprócz tego polecił, aby woźni, przy odgłosie trąb i bębnow, obwieścili ludowi o zaszłym zdarzeniu i wezwali wszystkich mieszkańców do połączenia się z orszakiem królewskim.

Wkrótce potem król wyruszył w drogę. Nigdy przedtem nie widziano tak świętego pochodu i tak licznych tłumów. Twarze jaśniały radością, powietrze trzęsło się od okrzyków i wszyscy winszowali sobie, że dożyli dnia tyle szczęsnego, w którym mogli oglądać najznakomitszego śmiertelnika, jaki od niepamiętnych czasów pojawił się na ziemi.

Przybywszy do jaskini, król, przejęty czcią na widok świętego miejsca, wszedł do jej wnętrza, z oznakami najgłębszego poszanowania. Po chwili, gdy oko jego przywykło do ciemności, zobaczył pokutnika, który siedząc w nakazanej przez ministra postawie, wydawał się tak martwy, jak skała nad jego głową. Król przybliżył się ze drżeniem i padł twarzą na ziemię, poczem powstawszy, złożył dłonie i odezwał się z pokorą:

— Święty pokutniku, błogosławionym niech będzie los, że dał mi doczekać dnia, w którym mogę oglądać święte stopy twoje. Nie wiem zaiste czem zdołałem zasłużyć sobie

na tak wielką łaskę, bo to co uczyniłem dobrego w tym żywocie, nie jest godnem tak wielkiej nagrody, i wierzę, iż chyba cnoty moich przodków, albo dobre uczynki które spełniłem w żywotach poprzednich, skłoniły bóstwo do obdarzenia mnie tak niewypowiedzianym zaszczytem. Oglądałem święte stopy twoje, dostałem najwyższego szczęścia, jakiego śmiertelnik pożądać może, i odtąd niczego już niepragnę na świecie, bo skutkiem widoku stóp twoich, odpuszczone mi są grzechy tego żywota i wszystkich poprzednich. Jestem teraz czysty jak wody Gangesu i najśmielsze życzenia moje są spełnione.

Mniemany pokutnik wysłuchał tej pochlebnej przemowy, nie objawiając ani wzrokiem, ani najlżejszem poruszeniem, że wie, iż te słowa do niego są zwrócone. Wszyscy obecni, zdziwieni tą obojętnością, utwierdzili się w przekonaniu, że tylko nadziemska istota miała prawo nie odpowiadać potężnemu władcy i nawet nie rzucić nań okiem.

— Nie ulega wątpliwości — szeptano dookoła — że tylko ciało tego świętego pokutnika żyje tu na ziemi; dusza zaś jego i myśli spoczywają na łonie bóstwa, którego jest obrazem.

Król, zdumiony i zachwycony, nie mógł nasycić się widokiem świętego sannyasa

i znów zaczął przemawiać do niego, w nadziei, że uzyska choć jedno spojrzenie w nagrodę. Próżne wysiłki pokutnik siedział nieruchomy, z okiem utkwionem w ziemię.

Krisna Roya zamierzał już wyjść z jaskini, gdy Appadży tak przemówił:

— Potężny władzcol przybywszy aż tutaj dla zobaczenia tej nadludzkiej istoty, która odąd stanie się przedmiotem czci powszechnej, nie powinienes odejść bez błogosławieństwa, lub przynajmniej bez jakiegokolwiek pamiątki, która będzie dla ciebie rękojmią szczęścia na resztę życia. Widzę, że ten pokutnik, pogrążony w rozmyślaniu i nieczuły na wszystko co go otacza, nie przerwie ani na chwilę milczenia; ale staraj się otrzymać cokolwiek bądź, choćby jeden włoszek z jego ciała.

Ta rada podobała się królowi. Przystąpił więc do sannjasa, wyrwał mu ostrożnie włos jeden z zarosłej piersi, ucałował ze czcią zdobycz i pokazując ją obecnym, rzekł:

— Ten włos zachowam przez całe życie. Każę go oprawić w złoto i nosić będę na szyi, jako najszacowniejszą ozdobę, gdyż wierzę, że będzie on dla mnie talizmanem przeciwko wszelkim złym wydarzeniom.

Ministrowie i dworzanie, słysząc te słowa, zapragnęli także dostąpić tego zaszczytu i każdy wyrwał biednemu pokutnikowi jeden

włoszek z piersi, obiecując chronić go i wielbić jako świętość.

Orszak królewski i nieprzeliczone tłumy, zebrane przed jaskinią, dowiedziawszy się o tem, poszły za przykładem króla i dworzana, i wkrótce ogołocono mniemanego sannjasa z włosów od stóp do głowy. bo najzarliwsi, nie zadowalając się jednym włoskiem, wrywali je garściami. Biedny jednak Kuruba zniósł tę straszną męczarnię i nie tylko ani razu nie jęknął, ale nie zmienił nawet postawy i nie podniósł oczu.

Król za powrotem do pałacu, udał się do żon swoich i opowiedziawszy co mu się przytrafiło, pokazał włos uzyskany od pokutnika. Kobiety, czciami przejęte, brały jedna po drugiej włos ten do ręki, całowały go z poszanowaniem, przykładały go do oczu i nareszcie prosiły króla, aby im pozwolił widzieć tę świętą osobę. Ale że niewiastom ich stanu nie przystało ukazywać się publicznie, przeto błagały swego małżonka i panę, aby rozkazał przenieść sannjasa do pałacu. Król z początku wzdragał się, ale nareszcie uległ prośbom i pragnąc dać zarazem nowy dowód swojej czci dla pokutnika, posłał swoich dworzana i wojsko, aby go eskortowali do pałacu.

Wysłańcy przybyli do jaskini, przed którą ciągle jeszcze stały tłumy ludzi, klócących

się o włosy sannjasa; czterej dworzanie, zbliżwszy się pokornie, przełożyli mu życzenie królewskie, poczem wzięli go na ręce i posadzili na przepysznej palankinie. Kuruba poddał się wszystkiemu, nie zmieniając ani na chwilę postawy. Eskorta ruszyła w drogę, przy dźwiękach muzyki, a za nią podążyli mieszkańcy, wydając radosne okrzyki. Z tem wszystkim biedny pasterz, który już od dwóch dni nie miał nic w ustach, a do tego czuł ból nieznośny na całym ciele, z powodu wyrwanych włosów, nie był wcale zadowolony z tego zaszczytu. Podtrzymywała go tylko nadzieja, że ta komedia niebawem się skończy, a przytem obawiał się gniewu swego pana i dlatego nie śmiał wyjawić prawdy. Przez całą drogę jednak mówił sobie w duszy:

— Oto dałem się złapać!... Wolałbym pilnować swojej trzody i słuchać ryku tygrysa, aniżeli siedzieć na tym palankinie i znosić okrzyki tych tłumów łatwownych i szalonych. Jako pasterz, byłbym już do tej pory zjadł śniadanie, i obiad; jako pokutnik natomiast jestem już dwa dni naczczo, i nie wiem nawet kiedy to wszystko się zakończy.

Tak rozmyślał nieszczęsny Kuruba. Narazcie orszak stanął przed pałacem królewskim. Mniemanego sannjasa przeniesiono

do wspaniale przystrojonego pokoju, i wkrótce żony królewskie przysły cześć mu oddać. Upadły przed nim twarzą na ziemię, poczem powstawszy, spoglądały nań w niemem zachwyceniu, a wreszcie i one zapragnęły posiadać choćby po jednym włosku pokutnika i po długim szukaniu znalazły na jego ciele tu i owdzie szczątki niewyrwane z korzeniem. Musiały więc na tem poprzestać i ogołociwszy biedaka od reszty, odeszły zadowolone. Król zaś rozkazał, aby zostawiono sannjasa przez całą noc w samotności, gdyż i najwytrwalszy pokutnik mógł potrzebować spokoju i wypoczynku, po dniu tak męczącym i bolesnym.

Wtedy Appadży wszedł potajemnie do pokoju, gdzie mniemany święty umierał z głodu, umęczenia i obawy, i przemówił doń w te słowa.

— Kuruba, jestem z ciebie zadowolony; wypełniłeś wszystko czego żądałem i otrzymasz nagrodę. Teraz jednak przedewszystkiem wdziej napowrót ubiór pasterza, idź nakarmić się i spocząć, a jutro powrócisz do zwykłej swej roboty.

Ne potrzeba było tego dwa razy powtarzać biedakowi: uciekł natychmiast przez skryte przejście, które mu wskazał Appadży, przysięgając w duszy, że drugi raz nie da się złapać w podobny sposób.

Nazajutrz rano król, otoczony całym dworem, poszedł do pokoju gdzie umieszczono sannjasa, aby mu złożyć swoje hołdy, i zdziwił się niemało, zobaczywszy że pokutnik zniknął. Jednakże to zdarzenie ntwierdziło jeszcze wiarę powszechną i wszyscy byli przekonani, że przychylnie bóstwo objawiło się pod postacią człowieka, a spełniwszy swój zamiar, wróciło, pod zastoną nocy, do przybytku wiecznej szczęśliwości. Pojawienie się i zniknięcie cudowne sannjasa było przez jakiś czas wyłącznym przedmiotem rozmów w pałacu królewskim, w mieście i w całym królestwie; ale w końcu sprzykrzyło się ludziom powtarzać ciągle jedno i to samo, i nareszcie zapomniano o całym zdarzeniu.

Po pewnym przeciągu czasu, gdy Appadży przyszedł do pałacu, król przypomniał mu swoje zadane niegdyś pytanie: co jest śmiesznem, zwyczajem, czy ludziami stosującymi się do nich? Appadży oddawna czekał na tę sposobność, i otrzymawszy od króla zapewnienie, że może wyznać prawdę bez obawy, przemówił w te słowa:

— Potężny władzco, postępowaniem swoim sam rozstrzygnąłeś zagadnienie w sposób niepodlegający zaprzeczeniu, udając się przed kilkoma tygodniami do jaskini za miastem, dla zobaczenia pokutnika, który tam

się pojawił. Zdziwisz się, gdy ci powiem, że ów pokutnik jest poprostu pasterzem trzód moich, człowiekiem nieokrzesanym i ograniczonym, który nie podziw, lecz pogardę wywołuje u ludzi naszego stanu. A jednak takiej to istotcie oddawałeś cześć boską, wraz z całym swoim dworem, polegając jedynie na moich słowach. Za twoim przykładem poszła cała ludność; nikt nie starał się zgłębić tajemnicy, zbadać źródła tej pogłoski, wszyscy uwierzyli na ślepo i korzyli się przed nędznym pasterzem, który, zaledwie odrobiną rozumu różni się od zwierząt. Nie jest-że to wymownym dowodem, że w czynnościach swoich ludzie trzymają się bezmyślnie raz utartej drogi? Sam na sobie sprawdziłeś, potężny władzco, iż słusznem jest przysłowie, głoszące, że jeśli obrzędy i zwyczaje są śmieszne, to ludzie, którzy je wykonywają, stokroć są śmieszniejsi.

Krisna-Roya nie rozgniewał się bynajmniej za podstęp, którego użył Appadży, aby mu dotykalnie przedstawić prawdę; przeciwnie, obdarzył go większem niż dotąd zaufaniem i do końca życia nazywał mądrego ministra swoim najlepszym i najwierniejszym przyjacielem.

Gdy fakir wymawiał ostatnie wyrazy, pierwsze promienie słońca zabłyśły na wschodzie. Wszyscy obecni poczytali to za szczę-

śliwą wróżbę; tymczasem zręczność opowiadaczy indyjskich polega właśnie na tem, że zaczynając swe opowieści z zachodem słońca, kończą je w samejże chwili wschodu, przedłużając lub skracając w miarę potrzeby, lecz czynią to tak gładko, że napozór zdaje się, iż ani jednego słowa nie zmieniają w układzie całości.

Wszyscy słuchacze powstali, klasnęli trzy razy w dłonie i zawołali chórem:

— Pierwsza wieczornica *) majowa skończyła się!

Opowiadanie powyższe znanem jest w całym Indjach południowych i na Cejlonie, i wszyscy fakirowie bez wyjątku mieszczą je w liczbie powieści, wygłaszanych podczas pierwszej nocy majowej.

*) Wyraz to niezupełnie może odpowiedni; użyty on został jedynie w braku innego, którymby oznaczyć można całą noc przepędzoną na czuwaniu.

III.

Wyjazd z Jaffnapatnam.—Kadawe.—Nocleg w lesie.—Walka dwóch słoni z węzem boa.

Piąta rano. Pierwsze promienie słońca polekają różową barwą fale oceanu indyjskiego; łagodny i pełen woni wietrzyk nocny ustępuje powoli przed podmuchem wiatru zachodniego, który za kilka godzin żarem swoim przeniknie aż do głębi lasów. Pobożni Indjanie, bramini, fakirowie, babusowie i sudrasy zbiegają się zewsząd na brzegi świętych stawów, dla dopełnienia obrządku obmycia się, podczas gdy wyznawcy Hajder-Alego, klęcząc przed meczetami; z twarzą

zwróconą ku Hajderabadowi, *) wzywają Alaha i proroka.

Żadne pióro nie wyrazi, żaden pendzel nie odda piękności krajobrazu indyjskiego o wschodzie słońca. Nad zieloną płaszczyzną wznosi się niebieska kopuła, na której nie widać ani śladu chmurki lub obłoczka; wśród liści igrają promienie słoneczne i miliony różnobarwnych ptaszek; nad bagnami kroczą poważnie kormorany, czaple, zimorodki i pelikany, łowią węgorze i skorupiaki, a obok nich kaczkę i kurki wodne szczypią trawkę, rosnącą na kępach użyźnianych namulem. Na gałęziach baobabu i tamaryndy gonia się czarne małpy, drwiąc z białych papug, którym wybierają jaja i niszczą gniazda. Pod każdym liściem znajdziesz ptaka, na każdym kwiatku spoczywa motyl, a wszystko szemrze, brzęczy, śpiewa, świergoce... i słońce wstaje wśród chóru ogólnego wszystkich istot żyjących.

Zarzuciwszy strzelbę na ramię, kroczyłem za wozem swoim, ciągnionym przez dwa woły, i z zachwyceniem spoglądałem na ścieżkę ukwieconą, wijącą się wśród ciemnej gęstwiny, gdy wzmagający się upał zniewo-

*) Hajderabad, miasto indyjskie, jest dla ta mecznych wyznawców Mahometa tem, czem Mekka w Turcji azjatyckiej.

lił mnie do schronienia się pod namiot rozpięty na wozie. Zmęczony parogodzinny pochedem i skwarem, chciałem już zdrzemnąć się, gdy rozmowa między Amudu, moim słuchającym, i Kandassami, woźnicą, zaostrzyła moją ciekawość. Obydwaj, Murzyn i Indjanin, byli zarówno uparci i nieokrzescani, lecz Amudu zwiędził ze mną wiele krajów i był zwierchnikiem woźnicy, najętego tylko na parę miesięcy.

Podaję dosłownie zasłyszaną ich rozmowę, z której czytelnicy przekonają się, że i prostak potrafi czasem rozwiązywać najzawiśle kwestje społeczne. Woźnica, Indjanin, mówił do Nubijczyka:

— Dziwna to rzecz, że na ziemi są ludzie biali, czarni i Indjanie żółtej barwy.

— Widać z tego—odparł Amudu—że niewiele zwiędziłeś świata, bo przecież to rzecz bardzo prosta.

— Jaki?

— Gdy Allah stworzył ludzi, wtedy mianował człowieka białego władcą wszelkiego stworzenia i dał mu sługę Murzyną, a człowieka żółtego nazaczył jako podwładnego Murzynowi.

— Zdaje mi się, że nie mówisz prawdy, Amudu-Sahib, bo Brahma jest dobry... więc dałby także sługę i człowiekowi złotemu.

— Ba, ba! Gdybyś, tak jak ja, był kiedy

na wyspach św. Maurycego, Bourbon, Majotte, lub na przylądku Dobrej nadziei, to wiedziałbyś, że wszędzie czarni służą białym, a w Zanzibarze i w Maskacie sultanom czarnym usługują Parsowie i Malabarczycy.

— A ja zawsze słyszałem, że człowiek żółty jest wyższej kasty aniżeli czarny — rzekł Kandassamy, nieco zachwiany w swoich przekonaniach.

— Oj, ty ciasna mózgowico! — odparł Nubijczyk. — Dwie tylko są kasty na świecie: biała i czarna; człowiek żółty nie należy do żadnej kasty, bo jest do niczego... Widzisz, kiedy człowiek biały spełnia czyn jakiś, z rozkazu duchów, to zawsze wzywa człowieka czarnego do pomocy. Znasz przecie te wielkie okręty, co płyną przeciw wiatrom. Otóż człowiek biały buduje okręt i trzyma ster w rękę, a człowiek czarny rzuca węgiel do pieca i utrzymuje ogień, który porusza statek.

— Więc na okrętach niema ludzi żółtych?

— Przyjmuje się ich niekiedy, ale tylko do posługi w kuchni.

Kandassamy spierał się jeszcze, ale zwyciężony wymową Nubijczyka, musiał uznać w końcu, że człowiek żółty powinien słuchać czarnego, że tak zawsze było i będzie.

Po odpoczynku w Katszaj, miasteczku sławnem na całe Indje ze swych wyrobów

z czarnej porcelany, ruszyliśmy w dalszą drogę i nad wieczorem przybyliśmy do wioski Kadawe. Zwyczajem podróżników indyjskich, niewiele w nocy spałem, odkładając istotny wywczas na skwarne godziny południowe, — i przededniem już byłem gotów do dalszej podróży, gdy na zakręcie drogi do Jaffnapatnam ukazał się bohis (biegacz), okryty potem i kurzawą; biegł, przyciskając łokcie do boków, któremi robił jak koń zmęczony wyścigiem — lecz nie zwolnwszy kroku na chwilę, stanął przedemną, ukląkł i pozdrowił na sposób indyjski, to jest przyłożeniem obu rąk do czoła, podał mi liść betelu, zagięty na końcu.

— Kto jesteś i kto ci doręczył ten liść poselski?

— Jestem bohisem w banku Steward — odparł Indjanin. Babu Supraya-Chetty przysłał mnie do ciebie, abyś wysłuchał słów jego.

— Słucham poselstwa babu Supraya-Chetty.

— Babu błaga cię o łaskę, abyś do jutrzejszego ranka odłożył wyjazd z Kadawe.

— Dlaczego?

— Dziś wieczorem sam tu przybędzie i udzieli ci wiadomości, która cię napełni radością.

— Cóż dalej?

— Bohis te słowa poselskie usłyszał.

Wiedziałem, że Babu lubił niespodzianki, tak jak wszyscy Indianie; dlatego też, na znak, że się zgadzam, doręczyłem biegaczowi liść betelu, zagięty na końcu, poczem Indianin puścił się napowrót, drogą do Jaffnapatnam.

Liść betelu odgrywał wielką rolę w Indiach przed powstaniem z r. 1857. Dostarczał on spiskowym nader łatwego sposobu porozumiewania się, a władze angielskie nie mogły niczego się domyśleć, Indianie bowiem obojga płci zawsze noszą przy sobie liście betelu, które żują z wapnem i orzechem ziemnym; stąd posiadanie takich liści nie mogło być dla nikogo kompromitującym, gdy tymczasem liście te, w różny sposób załamywane, wycięte, naddarte, zagięte, stanowiły jakoby pismo, zrozumiałe tylko dla Indian, które bez żadnej obawy można było rozsyłać po całym kraju.

Stosownie do życzenia babu Supraya-Chetty rozkazałem puścić woły na pastwisko, ku wielkiej radości Amudu i Kandassamy, a sam, żądny spoczynku, ułożyłem się właśnie w wygodnym hamaku, pod cieniem olbrzymiego baobabu, gdy tasildar, naczelnik wsi, przyszedł do mnie i w kwiecistym bardzo stylu zaprosił mię do siebie na cygaro. Przyjmuję zawsze zaproszenia Indian, by tylko tym sposobem można badać obyczaje kra-

jowców. Przekonałem się nadto sam na sobie, że do poznania dokładnego kraju i jego mieszkańców, znajomość języka niezbędnym jest warunkiem. Przez pierwsze trzy lata pobytu mego w Indiach nagromadziłem wiele notat, które spaliłem później, gdy nauczywszy się mówić po indyjsku, mogłem lepiej i dokładniej przeniknąć ducha krajowców.

Mieszkanie tasildara, położone w samym środku wsi, było zarazem siedziskiem urzędu policyjnego i podatkowego. Gdy zasiadłem wraz z gospodarzem pod werandą, dwaj kanceliści obok nas wydawali kwity z opłaconych podatków upartym Indianom, którzy nie chcieli odejść bez dowodu, że uiszcili przypadającą na nich należność. Kwity takie pisané są rylcem na liściach palmowych. Kanceliści byli widocznie w złym humorze, gdyż to żądanie płacących pozbawiało ich możności powtórnego ściągnięcia podatków, co czynią zawsze, ilekroć interesant zapomni wziąć pokwitowania.

Zobaczywszy mnie obok tasildara, kanceliści pomyśleli niewątpliwie, że jestem wyższym urzędnikiem i zaczęli okazywać się grzeczniejszymi dla płacących, którzy natomiast podnieśli głośnie skargi. Jeden narzekał, że nakazano mu zapłacić po raz drugi podatek gruntowy; inny utrzymywał, że nałożono na niego więcej, niż powinien był

uścić; trzeci znowu twierdził, że nadano jego pradziadowi przywilej uwolnienia od podatków — słowem zewsząd podnosiły się skargi, w których nie oszczędzano i samego tasildara. Byłby on niewątpliwie położył koniec temu zajściu, lecz etykieta indyjska nie pozwala gospodarzowi domu odzywać się do osób trzecich w obecności gości. Wtedy wdałem się w tę sprawę i dopilnowawszy, aby wszyscy otrzymali pokwitowanie, zapewniłem, że tasildar na przyszłość zapobiegać będzie wszelkim nadużyciom. Indjanie odeszli zadowoleni, wzywając błogostawieństwa Brahmy na moją głowę.

Mówiłem już poprzednio, z jaką srogością Anglicy ściągają podatki w Indjach, wydzierając krajowcom grosz ostatni, pod pozorem cywilizacji. Chcę dodać jeszcze kilka słów objaśniających w tym przedmiocie.

Wszyscy urzędnicy średni i niżsi byli dawniej wybierani przez współobywateli, a tem samem byli obrońcami i przedstawicielami ogółu mieszkańców. Obecnie zaś mianuje ich rząd angielski i używa do uciemiężania podbitego kraju; dlatego też tasildarowie serestardarowie i t. d. powszechnie znienawidzeni są o tyle, o ile dawniej używali ogólnego poszanowania i miłości ziomków, Indjanie, co rok większemi obarczani ciężarami, postanowili wreszcie opierać się

zdzierstwu, bądź to przez ukrywanie majątku, bądź przez niskie oszacowanie wartości ziemi lub plonu, wreszcie za pomocą przekupywania poborców. Biedniejsi jednak nie mogą uciekać się do tego środka i dlatego w latach nieurodzajnych umierają z głodu, bo podatki przez nich opłacane wynoszą połowę dochodu brutto z posiadanej ziemi i inwentarza. Jedni dla braku ziarna do siewu, zostawiają pola odłogiem, inni wolą żyć z jałmużny i rozboju, aniżeli pracować „nie dla siebie“.

Pewnego razu przewodniczyłem posiedzeniom sądu przysięgłych w Chandernagor. Wprowadzano sprawę kradzieży z włamaniem się, a przestępca zeznał przy przesłuchaniu, że posiadał w prowincjach angielskich przeszło tysiąc cottas (15 morgów) pola ryżowego. Zapytałem go wówczas, dla jakich przyczyn oddawał się kradzieży, będąc właścicielem obszaru, który dla Indjanina stanowi wcale piękny majątek. Oto jego odpowiedź:

— Dopóki pracowałem nad uprawą swojej roli, nie wystarczało mi na wyżywienie rodziny i opłacanie podatków; każdego roku bnałem w coraz większe długi. Sprzykrzyło mi się wreszcie pracować dla Anglików i zostawiłem pole odłogiem, bo w takim razie poborca nie ma prawa ściągać podatku.

Nie przeczę, że w tych słowach mieści się nieco stronnicej przesady; niemniej jednak jest prawdą, że rolnik indyjski, pracując od wschodu do zachodu słońca, z wielką biedą i tylko w latach urodzajnych może zadość uczynić wymaganiom angielskich zdobywców. Na potwierdzenie prawdziwości słów moich pozwolę sobie przytoczyć ustęp z dzieła pewnego człowieka, który mieszkał przez lat dwadzieścia w Indjach, był urzędnikiem angielskim i przyjacielem szczerym Albionu. Zdanie jego przeto jest zapewne raczej nadto oględnem, aniżeli przesadnem, a przecież czytelnicy będą zeń mogli osądzić, ile są warte deklamacje filantropijne ludu, który zniósł niewolnictwo po to jedynie, aby sam z niego ciągnął korzyści, i który przez swoją bezwstydną chciwość doprowadził dwieście milionów Indjan do stanu nędzniejszego od zwierząt. Oto ów ustęp:

„Rolnicy, przynagleni potrzebą uiszczania podatków, muszą conajmniej połowę zbioru sprzedawać na pniu lichwiarzom, którzy z ich biedy umieją korzystać; reszta wystarcza im zaledwie na wyżywienie się przez cztery lub pięć miesięcy. Wielu jest takich, co nie odbywają wcale żniwa, bo skoro tylko ryż wykłosi się i ziarno zaczyna się tworzyć, wówczas, przyciśnięci głodem, zrzucają codzień trochę zielonych kłosów i miękkie ziar-

na gotują w wodzie na pokarm. Tym sposobem w porze żniw nieraz już tylko goła słoma pokrywa pole, i rolnicy, aby sobie oszczędzić trudu żęcia, spasają ją krowami. Jeżeli zaś niektórzy, głodząc się przez większą część roku, wytrwają aż do żniwa bez naruszenia plonu, to i ci prawie żadnej ztąd nie odnoszą korzyści. Największą część zabierają wierzyciele, którzy dali im ziarno do siewu, lub pożyczili pieniądze na podatki, bo za jeden grosz, lub za jedną kwartę ryżu, rolnik obowiązany jest oddać dwadzieścia sześć kwart ryżu, albo dwadzieścia sześć groszy. Po żniwie, po zapłaceniu długów i podatków, rolnicy żyją jeszcze jakiś czas resztkami plonu, poczem jedni znów zaciągają długi, które obowiązują się oddać z lichwą podczas następnego żniwa, a inni, biedniejsi błędzą po lasach, nad brzegami rzek i stawów, gdzie karmią się liśćmi, pączkami bambusów, dzikimi korzonkami i owocami i tym sposobem unikają, lubo niezawsze, śmierci głodowej“.

Mam nadzieję, że przeczytawszy te słowa, nikt nie będzie utrzymywał, iż czernię Anglików, nazywając ich postępowanie w Indjach bezwstydnem i niegodnem narodu ucivilizowanego.

.....

Nad wieczorem, zaprosiwszy tasildara do mojego obozowiska, siedziałem z nim przed namiotem, rozkoszując się potrawą carry, z indycząt schwytych w gnieździe, przyrządzoną przez Amudu, — gdy nagle, na zakręcie drogi do Jaffnapatnam, pojawiły się dwa przepyszne słonie, ubrane w czapraki kaszmirowe i dźwigające wspaniałe haudah (kulbaki). Przybywszy na plac, gdzie siedzieliśmy z tasildarem, oba olbrzymy zatrzymały się pod baobabem i z jednej kulbaki stoczyła się okrągła masa w ręce kilku służących.

— To babu Supraya-Chetty, rzekł Amudu, późniejszy przybysza, pomimo szerzącego się zmroku.

Powstałem, aby sprawdzić te słowa, bo nie mogłem pojąć, dlaczego babu mając tyle koni i powozów, wybrał się w drogę paromiłową z tak wielkimi przyborami. Rzekczywiście był to Supraya-Chetty, w odzieży przetykanej złotem, okryty drogimi kamieniami, słowem tak wystrojony, że zapytałem go żartem, czy poprzednio nie ukrywał przedemną swęj rzeczywistej godności i czy nie jest czasem władcą Maissuru.

Pochlebstwo, choćby niezręczne, a nawet ironiczne, zawsze mile łechce Indjanina: babu zaczerwienił się z radości i odplacił mi tą samą moneta, obypując mię kwieciste-

mi komplementami, w które obfituje mowa indyjska.

Gdy potop ten grzeczności ustał nieco, zapytałem Indjanina, co znaczy jego tajemnicze poselstwo. Lecz babu był w natchnieniu poetycznem i zamiast wprost odpowiedzieć na zapytanie, zaczął wzdychać i czule przemawiać, że nagle rozstanie się nasze przepelniło boleścią jego serce, że byłby umarł z rozpacy, gdyby mnie, nie był już zobaczył itd. itd. Nagle biedaczysko wybuchnął głośnym płaczem i padł w objęcia swego sługi. Wtedy dopiero spostrzegłem to, co cienie nocy kryły dotychczas przed mojem okiem: babu Supraya-Chetty, współnik domu handlowego Steward et comp., pijany był jak bela. Tasildar rozkazał przenieść go do swojego domu i położyć w hamaku, gdzie natychmiast zasnął głęboko.

Musiałem czekać cierpliwie na przebudzenie się Indjanina, chcąc zaspokoić swą ciekawość. Niepróbowałem nawet wypytywać służących, bo choćby wiedzieli dlaczego ich pan przybył do Kadawe, to jednak na zapytania moje dawałoby mi zwykłą odpowiedź: „Ile“ (nie wiem). Wyznaję iż niepomiernie się zdziwiłem, widząc, że oba słonie przybrane były na daleką podróż, i oprócz siodeł miękkich a wygodnych, dźwigały ogromne skrzynie z trzciny, napełnione żywnością

i butelkami bordeaux, koniaku, szampana i rumu indyjskiego; widocznie babu wybrał się w kilkudniową podróż w głąb wyspy. Przypuszczenie to było też prawdziwe, gdyż Supraya-Chetty obudzwszy się, zawiadomił mnie, że dom Steward et comp. otrzymał z Londynu obstalunek na perły i masę perłową, obstalunek tak wielki że w samym mieście Jaffnapatnam zaledwie dziesiątą część jego można było zakupić. Panowie Steward postanowili zatem, że babu powinien udać się do Manaar, miejsca połowu muszli perłowych, gdzie może, jako krajowiec, nabyć takowe w najkorzystniejszych warunkach. Supraya-Chetty przyjął polecenie, a wiedząc że i ja tę samą odbywam drogę, posłał za mną, aby mnie do wspólnego skłonić podróżowania.

Opuściliśmy Kadawe na godzinę przed wschodem słońca. Babu spał jeszcze w swojej haudah, gdy nasza karawana ruszyła drogą do Karetshi. Na czele postępowały woły, zaprzężone do wozu, potem kroczyły poważnie oba słonie, a na końcu szli śródzy Supraya-Chetty, niosący pakunki, których nie można było pomieścić w skrzyniach.

Uszedłszy kilkaset kroków, przybliżyłem się do słonia przeznaczonego dla mnie i dałem znak karnakowi, że pragnę wsiąść. Rozumne zwierzę zatrzymało się natychmiast, nie czekając rozkazu przewodnika, i nadsta-

wiło koniec swej trąby: oparłem na niej stopę i podskoczywszy uchwyciłem słonia za ucho, a w drugim podskoku dostałem się na kark jego. Zasiadłem wygodnie w haudah.

— Jak się zowie twój słon? zagadnąłem kornaka.

— Priatita. odrzekł Indjanin, przykładając dłoń do czoła, na znak uszanowania.

Słon usłyszawszy swoje miano, mruknął z zadowolenia i zaczął poruszać trąbą na wszystkie strony, jakby dając poznać po sobie, że zasługuje na nazwę Prativity, to jest: „Wesołego“. Wdawszy się w rozmowę z kornakiem, dowiedziałem się, że słon mój ułożony był do polowania i mógł bezpiecznie stawić czoło każdemu nieprzyjacielowi.

Przez pierwszy dzień podróży nie wiedziałem prawie, że babu istnieje na świecie. Spał, palił fajkę, jadł i pił... Wieczorem nawet nie zsiadał ze słonia, wzmawiając się bólem głowy. Domyśliłem się łatwo, że przyczyną tej słabości nie był wcale upał, na który ciągle się skarżył, lecz ustawiczne czułe pieczyoty z butelkami bordeaux i araku. Życzyłem mu polepszenia na dzień następny i przestałem się nim zajmować, wiedząc zawczasu, że ta słabość ustanie dopiero z wysuszeniem ostatniej butelki.

Supraya-Chetty od dzieciństwa żył wśród Europejczyków, a w nich towarzystwie drwił z zabobonów i przesądów kastowych, które Indjanie zwykle cenią na równi z życiem; jadał mięso nieczyste i pił zakazane napoje, byle nie publicznie — a jednak ogłada i stanowisko nie zdołały zdjąć z niego piętna rasy, i jak wszyscy Indjanie (z wyjątkiem kasty pundit, uczonych), przepędzał życie na używaniu rozkoszy wyłącznie zmysłowych, na dogadzeniu najniższym popędem.

Trzeciego dnia podróży stanęliśmy obozem nad rzeką Odear; słońce było jeszcze wysoko i podczas gdy Amudu pilnował przygotowań do noclegu, zapytałem babu, który dziwnym trafem był prawie trzeźwy, czy nie zechce mi towarzyszyć do ruin malej pagody, wychylających się z pomiędzy lasu. Babu zgodził się na projekt i poszliśmy wraz z jego służącym. Po kwadransie drogi służący, który szedł przodem i odgarniał gałęzie tamujące nasz krok, padł twarzą na ziemię, wołając:

— Guru-purohit!

Supraya-Chetty, słysząc te słowa, ukląkł ociężale i naśladując służącego, uderzył czołem o ziemię. Postąpiłem naprzód i zobaczyłem pod nawpół zburzonym portykiem świątyni starego Indjanina, który przesuwiał w palcach paciorki ogromnego różańca; był

był to guru-purohita, czyli pustelnik uświęcony, żyjący zdala od zgiełku świata, w ciągłej adoracji Wisznu. W księgach Manu i Wedanta-sara znajdują się przepisy dla ascetów tego rodzaju. Zależą one na tem, aby Indjanin, doczekawszy się wnuków, opuścił rodzinę i osiadł na pustyni, wyrzekłszy się zwykłych pokarmów, odzieży, i uczyniwszy ślub umartwiania ciała do końca życia. Powinien posiadać wszelkie cnoty, gardzić dostatkiem, odbywać pielgrzymki do wszystkich miejsc i rzek świętych, znać dokładnie cztery księgi Wedy, tarka sastram (logikę), buta sastram (psychologję) i mimusa-sastram (filozofją w ogólnem znaczeniu). Oprócz tego guru-purohita powinien być biegłym w Wedanjach (komentarze do ksiąg Wedy), w nauce astronomji, w sztuce leczenia, w prawodawstwie i poezji; powinien umieć na pamięć zbiór osiemnastu Puranas (opowiadań historycznych i sześćdziesięciu czterech Kalais (wiadomości zasadniczych ze wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej).

Widzimy ztąd, że aby zostać pustelnikiem indyjskim, należy być więcej niż człowiekiem pod względem cnoty i więcej niż mędrcom pod względem nauki. Nie potrzebuje prawie dodawać, że wszyscy ci pustelnicy i mnisi indyjscy poprostu są kuglarzami, wydrwigroszami, żyjącymi wygodnie, dzięki głu-

pocie ludzkiej. Indjanie atoli czczą ich jak bogów i rozmawiają z nimi nie inaczej, jak na kolanach, błagając o prasadam, podarunek, składający się ze szczypty piasku rozmazanego śliną, którym pustelnik, w zamian za hojny datek, smaruje twarz proszącego, odmawiając stosowne modlitwy — przez co, stosownie do wysokości datku, uzyskuje się odpust wszystkich grzechów na tydzień, miesiąc lub więcej. Wszyscy Indjanie wierzą najmocniej, że ktoby śmiał spojrzeć na pustelnika przed otrzymaniem jego błogosławieństwa, ten zostanie natychmiast zamieniony w kamień, wieprza, żabę lub węża, stosownie do woli guru-purohity.

Dlatego to Supraya-Chetty i jego służący tak pośpiesznie padli twarzą do ziemi, zobaczywszy przed sobą pustelnika — i w tej postawie zaczęli wołać:

— Assirwadam aya! Assirwadam aya!
(Pobłogosław, panie!)

Co do mnie, wołałem na zięć się na zamianę w węża lub żabę, aniżeli tarzać się w piasku. Stałem więc na boku, jako widz obojętny. Guru spojrzaj na mnie zukosa i pobłogosławił obu Indjan, biorąc na świadectwo słońce, księżyc i morze. Potem do piero powiedział mi Supraya-Chetty; że tylko dzięki jego obecności uniknąłem wielkiego niebezpieczeństwa, ponieważ pustelnik,

obrażony mojem zachowaniem się, chciał mnie przekląć i zamienić w kamień, lecz powstrzymała go obawa, że przekleństwo; przechodząc nad głowami kłęczących Indjan, mogłoby się na nich zatrzymać. Obydwaj, babu i jego służący, byli przeknani, że ocalili mi życie.

Otrzymawszy błogosławieństwo, Supraya-Chetty ofiarował pustelnikowi sto rupij, prosząc, aby święty człowiek odbył na jego intencję awana-pudza, czyli obrzęd wezwania bóstwa. Kto raz chociaż w życiu obecny był takiemu obrzędowi, ten może potem umrzeć spokojnie, bo jest pewny, że czternaście niebios, składających, wedle Indjan, przybytek nieśmiertelności, stoi mu otworem. Rozumie się, że babu nie mógł pominąć takiej sposobności okupienia sobie wstępu do mieszkania Indry. Pustelnik, chciwie zagarnąwszy pieniądze, oświadczył jednak, że nie może dopełnić obrzędu wobec cudzoziemca, opętanego przez szatana, bo jego mentramy (modlitwy), odmawiane w mojej obecności, byłyby bezskuteczne.

Wtedy Supraya-Chetty spojrział na mnie błagalnie... Zrozumiałem, że pragnął abym odszedł, a nie śmiał o to prosić. Bywałem już dawniej kilka razy obecny obrzędowi ofiary pustelników, wróciłem przeto do obozowiska.

Wielka ofiara avahany, którą spełniać mają prawo tylko pustelnicy, składa się z następujących obrzędów:

1. Hassana: wezwanie bóstwa, aby zstąpiło do przybytku ołtarza.

2. Suagatta: ofiara przybycia. Wisznu zstępuje na ołtarz.

3. Arkia: pustelnik składa bożkowi ofiarę z kwiatów, szafranu i proszku sandałowego.

4. Madu-parka: ofiarowanie miodu, cukru i mleka w złotym kielichu; odmówiwszy kilka mentramów, guru wypija tę mieszankę na cześć bóstwa.

5. Atszamavia: ofiarnik myje sobie usta i ręce w naczyniu, które mu podaje służący.

6. Douva: ofiarnik nakadza ołtarz.

7. Niveddia: guru wzywa błogosławieństwa Wisznu na ryż, owoce i placki, upieczone w popiele, kładzie je na tacy srebrnej i rozdaje do spożycia osobom obecnym obrzędowi.

8. Asservadam: błogosławieństwo i pokropienie obecnych wodą święconą.

Zmrok już zapadał, gdy Supraya-Chetty wrócił z pustelni, z zapasem błogosławieństw i odpustów na trzy miesiące przynajmniej. Biedny babu martwił się szczerze tem, że ściągnął na siebie gniew pustelnika i chciał posłać mu w mojem imieniu podaru-

nek na zgodę. Podziękowałem za dobre chęci, mówiąc że mentramy indyjskie nie mają nademną władzy.

Supraya-Chetty był trochę niedowiakiem, ale po swojemu: ani podróże, ani ciągła styczność z Europejczykami nie mogły wywołać od przesądnej wiary w mentramy. Wszyscy Indjanie są jednakowi pod tym względem: śmiać się będą z małpy hannuma, z żółwia dźwigającego ziemię, z kwiatu wyrastającego z pępka Wisznu i z bajecznych przygód bogów; ale żaden nie wątpi o skuteczności mentramów. Te modlitwy złożone są z pewnych formułek, znanych braminom, pustelnikom, sannyasom itd. i mają własność nadawania potęgi tym, którzy je odmawiają. Świadczy o tem czworowiersz sanskrycki, znany w całych Indjach:

„Nad wszelkiem stworzeniem panują bogowie, nad bogami modlitwy (mentram), nad modlitwami bramini, a zatem bramini mają władzę boską“.

Mentramy służą do wszystkiego: do wzbudzenia miłości lub nienawiści, do zadawania śmierci wrogowi, do wywoływania duchów i upiórów, do zadawania chorób i leczenia z tychże, do zwyciężania nieprzyjaciół i t. d. Na każdą modlitwę szkodliwą istnieje druga, wywierająca wprost przeciwne skutki, tak że obie zobojętniają się wzajemnie.

Nie potrzebuje dodawać, że Supraya-Chetty, obdarzony i oczyszczony tyłoma odpustami i mentramami, tem namiętniej pieścił się z butelką i wielu innych zakazanych Indianom przyjemności używał.

Po noclegu nad brzegami Odearu, zapuściliśmy się w lasy, pełne bagien i trzęsawisk, wśród których roją się tygrysy i dzikie słonie; jest-to więc przeprawa niebezpieczna i nie byłbym się ośmielił na tę drogę, bez owych słoniów Supreya-Chetty.

Skoro stanęliśmy na nocleg, przedsięwzięłem zwykle w takich razach środki ostrożności: umieściłem swój wóz, woły i służących między obu słoniami, Pratitą i Navają (kwiatem jaśminu), i sam po raz pierwszy od wyjazdu, poszedłem za przykładem swego towarzysza i przepędziłem noc na grzbiecie Pratity, leżąc wygodnie w haudah. Miejsce na nocleg było trafnie obrane, na niewielkim i niezarośłym wzgórku, zdala od bagien, gdzie zwykle tygrysy i słonie idą pić wodę. Nie obawialiśmy się tygrysów: Pratita i Navaja dałyby im łatwo radę, i tylko stado dzikich słoni mogłoby pokonać naszych obrońców.

Przez całą noc nie mogliśmy zasnąć; nie wydarzył się wprawdzie żaden wypadek, ale najróżnorodniejsze odgłosy obijały się o nasze uszy. W krzakach dokoła wyły i sko-

wyczały setki hyen i szakalów, które nie śmiały zbliżyć się, z powodu słoni. Rzecz szczególna: te szmery i odgłosy działają tak samo na nerwy zwierząt, jak i ludzi. Pratita i Navaja nie spały przez całą noc, były niespokojne, rozdrażnione, i przewodnicy zaledwie mogli je powstrzymać od rzucaenia się w gęstwinię, skoro zdala ozwał się ryk jaguara lub dzikiego słonia.

Około drugiej po północy zerwał się wiatr od strony morza. Natychmiast oba słonie zaczęły rzeć i wciągać silnie powietrze nozdrzami, wykręcając niespokojnie trąbami, jakby groziły niewidzialnemu nieprzyjacielowi. Przewodnicy, drzemający na karkach obrzymów, zdziwieni tym nagłym niepokojem i lękając się, że nie potrafią dać im rady, zeszli na ziemię i stanęli przed słoniami, nakazując im groźnie milczenie. Zwierzęta były doskonale wytresowane: natychmiast przestały miotać się i kręcić, lecz do samego świtu mruzczały głucho i kłapały zębami, co jest u słonia oznaką gwałtownego gniewu.

— Cóż ty na to, Saravana? — zapytałem przewodnika Pratity.

— To wiatr temu winien, sahib, odparł przewodnik; musiał on przynieść jakieś wyziewy, które słonie nasze czują, bo są tak niespokojne, jak gdyby były na tropie tygrysa lub pantery.

Nagle w oddali padł strzał... Zawołałem na Amudu.

— Niema go, sahib: poszedł w las, skoro tylko słonie zaczęły się gniewać, odrzekli służący.

— Czy wziął broń ze sobą?

— Tak jest, strzelbę.

Nubijczyk nie mógł oprzeć się pokusie i poszedł polować na drapieżne zwierzęta, nie pytając o pozwolenie, którego bym mu z pewnością odmówił.

W kwadrans potem Amudu powrócił, donosząc że zastrzelił prześliczną panterę.

— Sam jeszcze stracisz życie na takich wyprawach, odparłem. Dlaczego oddaliłeś się od obcowiska?

— Chciałem dowiedzieć się dlaczego słonie tak są niespokojne.

— I cóż?

— O pół mili ztąd zaczęła mnie dolać woń tak nieznośna, że musiałem powrócić, bo ominąć jej nie mogłem, chociaż próbowałem przejść to w prawo, to w lewo. Zapewne leży gdzie ciało jakiego bawołu, i odór ten niewątpliwie jest powodem gniewu słoni.

— A pantera?

— Powracając, zobaczyłem w gęstwini dwójce błyszczących oczu: strzeliłem i zwie-

rzę zostało na miejscu. Skoro dzień nadejdzie, pójdę ściągnąć mu skórę.

Reszta nocy przeszła spokojnie; ryk jaguarów i szczenie szakałów ustało nad ranem, a gdy słońce wstało i oświeciło bujną zielen lasu, ozdobioną tysiącami przecudnych kwiatów, nikt nie mógłby się domyśleć, że ta wspaniała ustroń jest schronieniem zwierząt najszkodliwszych i najbardziej krwiożerczych.

Dnia tego porządek karawany został zmieniony, z porady Nubijczyka. Na przedzie postępowały słonie, jako czoło naszej gartki, mogące dać najskuteczniejszy odpór niespodzianemu napadowi; za słoniami szedł wóz, zaprzężony w woły, a na końcu kroczyli służący. Korzystając ze świeżego poranku, szedłem piechotą w tyle karawany, niosąc na ramieniu karabin nabitą kulą wybuchającą; była to ostrożność konieczna w lesie indyjskim.

Doszedłszy do miejsca, gdzie Amudu zabił panterę, przekonaliśmy się, że niewarto zdejmować z niej skóry, gdyż hyeny i szakale pożarły już duży kawał zwierzęcia. Ruszyliśmy więc dalej, gdy nagle oba słonie postępujące o jakie dwieście kroków przedemną, zaryczały dziko i rzuciły się naprzód; w tejże chwili Indjanie, idący koło wozu, zawrócili w tył i biegli ku mnie, wołając

z trwogą: „Maha-sarpa, maha-sarpa!” (wąż boa). Odwiodłem kurek u karabina i podążyłem na pomoc Supraya Chetty, który siedział w haudah. Zachęceni moim przykładem, Indianie poszli za mną i na zakręcie drogi, nad brzegiem bagniska, przedstawił się moim oczom najdziwniejszy widok, jaki widziałem kiedykolwiek w swych podróżach.

Pratita i Navaja pochwyciły trąbami ogromnego węża boa, który rzucił się na Pratile, chcąc pochwycić kornaka Szlachetne zwierzę obroniło swego dozorcę: schwytawszy węża niedaleko głowy, słoń gniótł go silnie trąbą o swoje kły potężne; Navaja, zrećcznie pokierowany przez swego przewodnika, obwinął trąbę dokoła ogona węża i przytrzymał go silnie, pomimo gwałtownych podskoków, jakie czynił boa, chcąc się uwolnić. Oddech zamierał nam w piersiach, na widok tej walki i rozumu słonia, usiłujących ocalić życie swoich dozorców. Boa charczał, z paszczy jego spływała krewawa ślina na kły Pratity, oczy wyszły mu na wierzch i krwią zabiegły, ale miotał się ciągle z jednakową siłą... Pierwszy to raz zdarzała mi się tak dobra sposobność użycia kul wybuchających; krzyknąłem na przewodników, aby ostrzegli słonie, i wycelowawszy jak mogłem najlepiej, strzeliłem... ku-

ła przeszła węża i pękawszy, zdruzgotała mu kręgi; boa, rozdarty na dwoje, opadł bezwładnie i leżał na ziemi, doduszony trąbą Pratity.

Nigdy nie zapomnę tego poranku. Niebezpieczeństwo było tak nagłe, tak niespodziewane i groźne, że w pierwszej chwili nie mogłem się opamiętać, i dopiero w kwadrans potem zdołałem objąć cały jego ogrom, gdy leżąc wygodnie w haudah, zacząłem spokojnie rozmyślać nad tem wydarzeniem. Supraya-Chetty przez cały czas walki leżał skulony w swej haudah, wzywając pustelnika z Nour-Kaloor i odmawiając głośno Wszystkie mentramy, które u niego zakupił. Twierdził on potem zawsze, że nie słonie, ale Sziwa, wzruszony temi modlitwami, ocalił nam życie. Żartowałem z niego potrosze, ale bezskutecznie, i w końcu musiałem zamilknąć wobec tak niezłomnej wiary.

Nazajutrz przybyliśmy do Mantotte, gdzie babu miał do załatwienia interesu, dotyczące handlu perłami. Połów pereł odbywał się tego roku w zatoce, Kalpentyń, i postanowiliśmy tam się udać, zostawiwszy słonie i część służby w Mantotte.

jego, z powodu czystości atmosfery, był tak silny, że bez przesady powiem, iż takie nocce na oceanie Indyjskim są jaśniejsze od wielu mglistych dni zimowych w Europie. Gu-huka (gołąb), statek nasz, mieścił na swym pokładzie około pięćdziesięciu pielgrzymów obojej płci, dążących do pagody w Ramisseram. Należeli oni do kast najuboższych i wieźli w ofierze dla Sziwy podarunki, których wartość przedstawiała kilka lat ciężkiej pracy tych biedaków.

Pagody, a właściwie bramini, pochłaniają wogóle wszystko, co krajowcom chciwość angielska pozostawić raczy. Na każdą wioskę nałożone są dziesięciny na utrzymanie świątyni, a oprócz tego, w wielu miejscowościach należą do pagód rozległe obszary, uwolnione od wszelkich podatków. Ale to wszystko nie wystarcza braminom, uciekają się przeto do wszelkich możliwych wybiegów, aby rozbudzać żarliwość pobożnych i tuczyć się ich ofiarami.

W Indjach środkowych i południowych, na wybrzeżach Malabaru i Koromandelu, kapłani używają bardzo prostych sposobów względem ludności, złożonej prawie wyłącznie z wyrobników, rybaków i rolników. Tak naprzykład posąg Sziwy lub Wisznu przemawia do zgromadzonego i osłupiałego ludu, który nie domyśla się, że we wnętrzu posą-

IV.

Ramisseram. — Zatoka Kalpentyn. — Kaimany. — Połów perel. — Amudu i rekin.

Na kilka dni przed zamierzonym odjazdem do Kalpentyn, Supraya Chetty dowiedział się, że na wyspie Ramisseram jest do sprzedania wielka partja muszli perłowych; wybrał się przeto w drogę i namówił mnie, abym mu towarzyszył, gdyż Ramisseram posiada sławną na całe Indje pagodę, poświęconą Sziwie. Około dziesiątej wieczorem wsiedliśmy na mały statek żaglowy, zwany dony, i wiatr pomyślny skierował nas ku Ramisseram. Noc była prześliczna. Księżyc srebrzył fale i wybrzeże Ceylonu, a blask

gu siedzi oszust ukryty. „Cóż to znaczy?— mówi bożek, czy połów nie dopisał, czy ryż nie obrodził w tym roku, że mi składacie tak nędzne ofiary, godne parjasa, nie boga?“ I posąg piorunuje na skapstwo, grożąc, że przestanie się opiekować ludźmi, że opuści pagodę i poszuka sobie innej świątyni, gdzie chojniejszych znajdzie czcicieli. Wtedy skruszeni słuchacze biją się w piersi, błagają Sziwę aby pozostał i znoszą co mogą, byle zadowolić nienasyconego boga. Gdzieindziej małe dzieci, ubogi cooli, albo vanaprasta (samotnik) głoszą, że Brahma się im ukazał i polecił objawić ludziom swoją wolę, która zawsze dotyczy budowania świątyń i składania ofiar braminom. Trudno uwierzyć, do jakiego stopnia doszła naiwność niższych warstw społecznych pod tyłowiekowym rządem kapłanów. Tak na przykład pewnego poranku ludność spostrzegła swoje bożyszcze zakute w kajdany. Uczynili to niemilosierni wierzyciele, ponieważ bramini nie mogli oddać długu, zaciągniętego w czasie głodu. Sypią się więc ofiary, i skoro żądana summa zostanie zebrana, kajdany spadają z bożyszcza, cała wieś szaleje z radości, a bramini rachują zyski.

Oto inny sposób: rozchodzi się nagle wieść, że bożek niebezpiecznie zachorował ze zmartwienia, widząc jak pobożność zmiej-

sza się i ludzie obojętniej (czyli że zamało ofiar składają). Wówczas posąg zdejmuje się z podstawy i umieszcza przy wejściu do pagody. Kapłani biorą go co chwila za puls, nacierają mu głowę maściami, dają uśmierzające lekarstwa; ale choroba się wzmaga, niepokój ogólny wzrasta i pokazuje się, że jeden tylko jest środek ratunku: okryć bożyszcze kosztownymi szatami, ozdobić w bransolety złote i kolczyki. Wierni znoszą natychmiast podarunki i posąg zaczyna przychodzić do zdrowia.

Otóż podróżni Gu-huka odbywali pielgrzymkę do pagody. Przez większą część nocy śpiewali długie hymny na cześć Sziwy i jego małżonki, Parvady, przez co nie mogłem zmrużyć oka i zasnąwszy dopiero nad ranem, obudziłem się, gdy statek przybył do wyspy. Babu udał się natychmiast do składu owych muszli perłowych, ja zaś, najawszy wóz, pojechałem do pagody.

Świątynia w Ramisseram składa się z czterech pięter kolumn, między którymi próżne miejsce wypełniają olbrzymie rzeźby, wznoszące się jedne nad drugimi. Piętra są ku górze coraz węższe, tak, że zdaleka świątynia ma postać piramidy uciętej; z najwyższego piętra wznoszą się dwie wieże, o podstawie kwadratowej. Dokoła gmachu ciągnie się obszerna galerja, o czterech rzę-

dach kolumn, dźwigających taras, otoczony poręczą rzeźbioną. Wewnątrz budynku, na licznych kolumnach i filarach, ogromne płaskorzeźby przedstawiają wydarzenia z walk bogów i bohaterów. Wzdłuż belkowania ciągną się figury mitologiczne, zwiększając bogactwo ozdób. Szczyty arkad, odrzwia i drzwi same całkowicie pokryte są arabeskami, przedstawiającymi kwiaty, owoce, liście, zwierzęta, ludzi i urojone istoty. Pod względem wykończenia i smaku, ozdoby te nie ustępują najpiękniejszym pomnikom architektury arabskiej w Hiszpanji.

Cały gmach posiada ową cechę starożytną, tajemniczą, która przenika umysł podróżnego i przenosi go w świetne czasy potężnej cywilizacji bramińskiej, poprzedniczki wszystkich innych, a której zgłiszcza i wspomnienia tak żywo jeszcze zajmują świat nowoczesny. Niestety! patrząc na nikczemne i poniżające przesady, ciężące na tyłu miljonach, trudno zaiste dać wiarę, że Indje miały niegdyś czasy świetne, w których kwitły tam nauki, filozofia i cywilizacja.

Przy głównem wejściu do świątyni obiegła mnie cała armja fakirów, bajaderek i posługaczy, wyciągających ręce, z okrzykiem: Saranai, aya, assirvadam! (Bądź pozdrowion, panie, niech Bóg cię błogosławił). Rzuciłem im garść fanonów, drobnej monety, równa-

jącej się czterem kopiejkom, i błogosławieństwa posypały się na nowo.

Ci biedacy nie należeli już do czynnej służby w pagodzie: fakirowie i bajaderki, uznani za niezdatnych z powodu starości, otrzymują ze świątyni cząstkę potrzebnego wyżywienia, resztę zaś zyskują jałmużną. Spostrzegłem pomiędzy nimi kilka starych małżonek Sziwy, które przechadzały się dumnie, z wypiętowanym na piersiach znakiem tego bożka.

Nie od rzeczy tu będzie krótka wzmianka o tych kobietach.

Pagoda w Ramisseram ma wyłączny przywilej obchodzenia co sześć lat czystości odpustowej, która na takiż przeciąg czasu zmazuje grzechy wszystkich obecnych. Łatwo pojąć, że wielkie tłumy pielgrzymów, z całych Indji gromadzą się na obrzęd, zapewniający im odpust zupełny, i to sześcioletni. Ofiary składane wówczas w złocie, srebrze, towarach najróżnorodniejszych, koniach, bydłach i t. d. są tak olbrzymie, że wystarczają przez trzy lub cztery lata na utrzymanie kilkuset braminów i całej służby pagody.

Podczas obwożenia posągu Sziwy (o którym to obrzędzie wspomniałem poprzednio), bramini krążą wśród tłumu, wybierają najpiękniejsze kobiety i wmawiając w krewnych,

że są przeznaczone dla bożka, uprowadzają je z sobą. Zbydlęceni Indjanie nie zastanawiają się nad tem, że posąg śpiżowy lub drewniany nie potrzebuje małżonek i z radością oddają braminom swoje żony i córki.

Skoro bożek spostrzeżę, że jego żony starzeją się, wtedy, przez usta kapłanów obwieszcza im rozwód: bramini w takim razie wypalają odtraconym małżonkom godło bożka na piersiach, wydają świadectwo, że przez pewną liczbę lat były prawemi żonami tegoż i polecają je miłosierdziu publicznemu. Opatrzony takim patentem, tułają się po całym kraju, żyjąc z jałmużny, i trzeba przyznać, że wszędzie, czy to w pałacu rajaha, czy w chacie sudrasa, z jednakową podejmowane są szczerobliwością.

Bajadery noszą trojaki imiona: małżonki Sziwy zowią się Kali-juga-Parvady; małżonki Wisznu Kali-juga-Lakmi; małżonki Brahmy Kali-juga-Brahmy.

Wyrazy sanskryckie: Kali-juga znaczą: wiek złego, lub wiek żelaza. Jest to perjod, w którym świat obecnie przebywa. Podług Indjan ziemia przeszła kolejno przez cztery perjody.

Pierwszy był Krita-juga, wiek szczęścia, czyli wiek złoty.

Po nim nastąpił Treta-juga, wiek ognia,

prawdopodobnie tak nazwany, na pamiątkę tego wynalazku.

Trzecim z rzędu był Dwapara-juga, wiek śpiżowy, wiek wątpienia.

Wreszcie obecny, Kali-juga, wiek złego. Parvady, Lakmi i Brahmy, są to niebiańskie małżonki Sziwy, Wisznu i Brahmy; przytoczone powyżej nazwy małżonek ziemskich oznaczają przeto dosłownie: małżonki Sziwy, Wisznu lub Brahmy, podczas wieku złego.

Gdy skończyłem rozdawać jałmużnę, fakirowie, chcąc okazać swą wdzięczność, oświadczyli wśród oklasków i radosnych krzyków zgromadzonego tłumu, że wyprawią na moją cześć Tiziddy-Parvady. Pisałem już o tej torturze dobrowolnej, podczas której fakir, zawieszony na ostrym haku żelaznym i krwią zbroczony, rozśmiesza zebranych conceptami... Nie mogłem przeszkodzić spełnieniu tego barbarzyństwa, ale nie byłem obowiązany patrzeć na nie; złożywszy więc zwykłą w takich razach opłatę, wsiadłem do powozu i odjechałem.

Czytelnikowi, dziwiącemu się może dlaczego nie usiłowałem odwieść tych fakirów od ich zamiaru, odpowiem, że podróżujący w Indjach, w Afryce i we wszystkich nieucywilizowanych krajach, musi podlegać panującym tamże zwyczajom, jeżeli nie chce po-

stradać życia. Europejczycy, przekonani o swej wyższości, nie lubią się naginać do obrzędów śmiesznych i przesądów, właściwych plemionom nierozwiniętym umysłowo, i opór swój nieraz przypłacają śmiercią. Co do mnie, postępowałem wprost przeciwnie, i dlatego wszędzie zyskiwałem zaufanie i przyjaźń krajowców.

Wróciwszy na pokład Gu-huka, zastałem już mojego towarzysza i nazajutrz powróciliśmy do Mantotte, zkad po przepędzonej tam nocy, udaliśmy się w drogę do zatoki Kalpentyn, celu naszej podróży. Przez ciąg tej krótkiej wycieczki nie widziałem babu ani razu: odnowiwszy w Mantotte zapas araku i wina, siedział w haudah, nagradzając sobie wstrzeźliwość, której się przez kilka dni, ze względu na interesa, poddawać musiał.

Półw pereł był dopiero co rozpoczęty; dwieście łodzi i blisko sześciuset nurków zajęło przestrzeń trzydziestu mil angielskich, na wybrzeżach wyspy Kartivoe i półwyspów Kalpentyn i Navekooor, a stopy muszli, nagromadzone nad morzem, wskazywały, że trud i koszta łowiących opłaca się znakomicie.

Zawiadowca połowu, p. Barnett, dowiedziawszy się, że zamierzam pozostać w Pomparipo przez cały czas połowu, oddał na

moje usługi łódkę z wiosłarzami, ofiarowując się towarzyszyć mi do zatoki, ilekroć tego zażadam.

Wieczorem, urządziwszy sobie pokój w bengalów (oberży), poszedłem z moim nieodstępnym Amudu nad brzegi rzeki Pomparipo, gdzie liczni rybacy i nurkowie łowili ryby przy pochodniach. Skierowałem swoje kroki wzdłuż biegu rzeki ku morzu, z zamiarem upolowania raka morskiego, gdy nagle, na paręset kroków od ujścia rzeki, na zakręcie lasku baobabów, zobaczyłem koźłę, przywiązane do palmy kokosowej i beczące żałośnie. Amudu, idący za mną, rzucił się naprzód,

— Stój, sahib, szepnął drżącym głosem.

— Cóż się stało?—zapytałem.

— Przed nami jest zasadzka na kaimany.

— Zkądże to wnosisz?

— Pomparipo roi się od tych potworów... widzisz, sahib, tam... na zakręcie rzeki, te czarne pręty, płynące z biegiem wody?

— Widzę; zdaje się, że to kłody drzewa, lub małe łódki, wywrócone dnem do góry.

— To kaimany, sahib.

— I cóż ztąd?

— To koźłę niezawodnie na to przywiązano do drzewa, aby swoim beczeniem przywabilo kaimany; przed niem wykopany jest głęboki dół, nakryty liśćmi kokosowymi, a

ponieważ noc oddawna zapadła, więc bardzo być może, iż parę tych zwierząt wpadło już do dółu.

Zaledwie Nubijczyk, wyrzekł te słowa, gdy z kępy palm, przy których stało uwiązane kozłatko, wyszedł Indjanin i kiwając ręką, dawał nam znaki, abyśmy się cofnęli do lasku.

Uśluchałem wezwania i podszedłem ku Indjaninowi z zapytaniem, dlaczego zwrócił mnie z drogi? Indjanin, przepraszając za swoją śmiałość, powtórzył to, co mi mówił Amudu. Kozłę było istotnie przynętą dla kaimanów, a w dole dwa już schwytały się; a szelest łusek, trących się o siebie, i syk potworów dochodziły aż do nas. Dreszcz mnie przejął na myśl, jak okropnej uniknąłem śmierci.

Dół mógł mieć około dwudziestu stóp głębokości i tyleż szerokości; przykryty był zeschniętymi liśćmi kokosowymi, leżącymi na przecznicach bambusowych. Nakrycie to tak zręcznie było ułożone, że najwprawniejsze oko nie mogłoby rozpoznać zasadzki, tembardziej, że pod palmami kokosowymi zawsze znajduje się warstwa liści na pół stopy gruba.

Zapytałem Indjanina, czy nie mógłbym przypatrzeć się jego polowaniu. Zaprowadził mnie wtedy do budki z gałęzi, z której moż-

na było widzieć równocześnie rzekę i miejsce zasadzki. Czekaliśmy.

Zdaleka dolatywały nas odgłosy rybaków i żalodne wycie szakali, szukających żeru. Rzeka płynęła spokojnie o dwieście kroków od nas, a księżyc tak jasno oświecał jej fale, że żadne poruszenie kaimanów nie mogło ujść naszego oka.

— Czy zawsze tyle kaimanów jest w rzece? — zapytałem Indjanina pocichu.

— Nie brak ich nigdy, sahib, odparł, ale teraz jest ich więcej niż zwykle, bo uciekają, wystraszone krzykiem rybaków i światłem pochodni.

— Baczność! — rzekł Amudu, widzę całą gromadę, płynącą ku naszej stronie.

Indjanin schylił się i ukrył; poszliśmy za jego przykładem. Nagle zaczął beczeć jak koza, szukająca swego kozłęcia. Słyszając ten znany odgłos, biedne zwierzątko poczęło skakać i odzywać się, jak mogło najgłośniejsze.

Natychmiast trzy kaimany wzniosły łby śpiczaste ponad wodę, dla zobaczenia gdzie znajduje się spodziewana zdobycz i popłynęły prosto do brzegu. Oddech zamierał mi w piersiach... Amudu, z okiem zaiskrzonem, z długim nożem malabarskim w rękę, gotów był poskoczyć naprzód, i jestem przekonany że tylko moja obecność wstrzymywała go od tego szaleństwa. Po chwili wszystkie trzy

kaimany stały na brzegu, ale jeden, będący na przedzie, zaledwie postąpił kilka kroków, znikł nagle, jak gdyby go ziemia pochłonęła. Wpadł w dół, wydając ryk ostry i chrapliwy, po którym posłyszeliśmy dziwny hałas: straszliwe jaszczurki rozjątrzone przybyciem nowego towarzysza, biły wściekle swemi potężnymi ogonami o ściany więzienia.

Dwa kaimany pelzające w tyle spostrzegłszy zniknięcie pierwszego, zawróciły się i corychlej podążyły do rzeki. W jednej chwili straciliśmy je z oczu.

— Dosyć na dziś, rzekł Indjanin.

— Jakto? czy kaimany nie dadzą już się przywabić?

— Owszem; ale gdy schwytam dwa albo trzy, to mam i tak robotę do rana, żeby je zabić i poćwiertować.

— A jakże się bierzesz do tego?

— Jeżeli sahib pozostanie jeszcze chwilę, to będzie mógł wszystko zobaczyć na własne oczy. Zrzucę nakrycie z liści do dołu, na wierzch dodam jeszcze kilka pęków zeschniętych liści i podpale. Gdy ogień wygaśnie, zdeńrę skórę z kaimanów, mięso sprzedam rhodiasom i pariasom, szpik-mestrisom (lekarzom indyjskim), a kręgi paduasom, którzy używają ich na rękojeści do szabel.

Wsunąłem biedakowi kilka rupij do ręki

i wróciłem do bengalów, gdyż mimo całego wstępu do kaimanów, nie miałem ochoty być świadkiem ich męczarni.

O świcie wsiedliśmy obydwa, to jest ja i Amudu, do łódki, udzielonej mi przez pana Barnett, i popłynęliśmy na miejsce połowu. Między Kartivoe i Kalpentyn spotkał nas statek, wiozący zawiadowcę.

— Czekałem na pańskie przybycie—zawołał zdala p. Barnett, i nie pozwoliłem zacząć roboty.

Długa zatoka Kalpentyn, dosłownie mówiąc, zapchaną była łódkami; na każdej znajdowało się dwóch ludzi: jeden kierował łodzią i odbierał muszle; drugi zanurzył się w morzu i odrywał mięczaki od skały.

Zawiadowca dał znak ręką; z łódek odpowiedziały trąby na to wezwanie i połów się rozpoczął. Pięciuset nurków, stojących na przodzie statków, skoczyło w wodę. Po upływie trzydziestu do czterdziestu sekund, każdy kolejno wypływał na powierzchnię wody trzymając jedną lub dwie muszle, i rzuciwszy je do łodzi, zanurzał się znowu.

Trudno opisać słowami malowniczość tego obrazu, którego tłem był ocean i wieczna zieleń Cejlunu.

Po dziesięciu kursach pod wodę, nurek wchodził do łódki, a towarzysz zajmował jego miejsce, i taka kolejna robota trwała do

jedenastej przed południem. Skoro łódka napełniona już była muszlami, przybijała do brzegu i złożywszy ładunek, wracała na poprzednie stanowisko.

Nurkowie zagłębiają się średnio do piętnastu lub dwudziestu sążni. Najręczniejsi dostają się na trzydzieści sążni w głąb i przebywają pod wodą od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu pięciu sekund; często też bywa, że wskutek długo wstrzymwanego oddechu i wysilenia, krew rzuca im się nozdrzami. Dla szybszego zanurzania się, biorą zwykle w ręce kamień, ważący kilkadziesiąt funtów i uwiązany do sznura, stanawszy przy ławicy muszlowej, puszczają kamień, towarzysz wciąga takowy do łodzi, a sami copędzej odrywają muszle.

Muszla perłowa, stosownie do wieku, miewa od dziesięciu do trzydziestu centymetrów średnicy.

Aby nie zubożyć pokładu, łowi się tylko największe okazy; do zupełnego rozwoju mięczaka potrzeba od dwunastu do piętnastu lat, i w takich muszlach zwykle znajdują się najpiękniejsze perły. Barwa pereł jest taka sama, jak masy perłowej z teje muszli: bywają białe, niebieskawe i czarne. Perły cejlońskie są srebrno-białe, nader pięknego połysku, i takąż jest masa perłowa. Nie wszystkie muszle zawierają perły, a bardzo

rzadko zdarza się znaleźć perłę wielkiej wartości. Prywatne osoby, dzierżawiące od rządu stacje połowu, rachują, że perły powinny pokryć wszystkie koszta, a masa perłowa zostaje w czystym zysku; jest to zarobek niemały, na targach bowiem europejskich beczka masy perłowej dochodzi ceny 500 rb.

Rząd angielski odbywa połów na swój rachunek w stacjach, na które niema dzierżawców, i w zatoce Kalpentyn, ktorej nigdy nie wypuszcza w dzierżawę. Po ukończonym połowie, muszle sprzedają się częściowo, przez licytację; kupujący otrzymuje muszle zamknięte: tem lepiej dla niego, im więcej po otwarciu pereł znajdzie.

Jedenasta dochodziła, gdy pan Barnett udzielał mi tych szczegółów. Upał wzmagał się coraz bardziej i zawiadowca dał znak zaprzestania roboty, gdy nagle obił się o nasze uszy krzyk przeraźliwy. Obróciwszy się, spostrzegliśmy jednego z nurków, który oddalony na kilkadziesiąt sążni od łódki, płynął napowrót, robiąc nadludzkie wysilenia; na twarzy jego malowały się rozpacz i trwoga. Wody oceanu były jednak spokojne i gładkie: nie mogłem więc pojąć przyczyny krzyku i trwogi nurka.

— Dziwiło mnie—odezwał się pan Barnett że dotychczas nie zdarzył się ten wypadek

przez pierwszy tydzień połowu, zawsze kilku nurków daje się schwytać.

— Ale cóż to znaczy? zapytałem, patrząc na nieszczęśliwego Indjanina, który reszty sił dobywał, zdążając do łódki.

Zanim p. Barnett zdążył odpowiedzieć, Amudu trzymając w zębach swój ogromny nóż malabarski, skoczył w wodę i dał nurka, w kierunku Indjanina.

— To rekin, odparł obojętnie zawiadowca.

— Rekin! zawołałem, drżąc o życie mego dzielnego Nubijczyka.

— Tak jest, rekin, — i dziwię się, powtarzam, że do dziś dnia nie było wypadku. Na tych wybrzeżach rekiny są bardzo liczne, a że macimy im spokój w porze połowu, więc cdplacają nam za to...

W tej chwili Amudu wypłynął na wierzch, odetchnął i zanurzył się znowu, Indjanin już się nie spieszył: Amudu bliżej był rekina niż on i widocznie zamierzał stoczyć walkę z nastpnikiem.

— Masz pan dzielnego murzyna! rzekł zawiadowca.

Stałem zdrewniały, z obawy, aby Amudu nie stał się pastwą rekina. Zewsząd nadpływały łodzie, z ludźmi uzbrojonymi w dzidy; ale odległość była zbyt wielką i walka musiała się rozstrzygnąć przed ich przybyciem.

Nagle woda zafalowała, zaczerwieniła się... z fali ukazała się ręka z nożem wzniesionym do góry i Amudu wypłynął z okrzykiem zwycięstwa, na który pięćset ust odpowiedziało. Wszystko to odbyło się we dwie minuty niespełna. Wkrótce potem martwy rekin ukazał się na powierzchni wody. Amudu trzykrotnie rozplatał mu brzuch nożem od pyska do ogona.

— To nic, sahib, rzekł gdym mu winszował i łąjał go zarazem; gdy łowiłem korale na morzu Czerwonem, to miałem z gorszemi do czynienia.

Wszyscy rybacy i nurkowie złożyli się na ucztę dla dzielnego murzyna; rzeczywiście zasłużył na to.

Przez resztę naszego pobytu w Pompari-po nie powtórzył się już podobny wypadek, bo nurkowie, nauczeni doświadczeniem, nie oddalali się od łódek.

Supraya-Chetty zakupił wielkie ilości pereł i masy perłowej, i dziesiątego dnia po przybyciu pożegnaliśmy się ze sobą; on wrócił do Jaffnapatnam morzem, wynajawszy statek do przewiezienia zakupionego towaru. a słonie odesłał pod opieką swego służącego, ja zaś, wraz z Amudu i Kandassamu, udałem, się dalej, mając zamiar zwiedzić południowe i wschodnie prowincje wyspy. Nęciły mnie wprawdzie ruiny Anurd-

hapur, miasta przedpotopowego, zamieszkałego niegdyś przez pierwotne szczepy ludzkości, ale wolałem wycieczkę tę zostawić do czasu, w którym mógłbym dłużej tam zabiwać. Indje bowiem nie są krajem dla turystów; chcąc je poznać, należy długo pozostawać w jednym miejscu, badać, szperać, a przedewszystkiem znać jeden z dwóch głównych języków indyjskich.

Po trzyletnim pobyciu w Indjach, spaliłem wszystkie swoje notaty i studia etnologiczne, gdyż wyuczywszy się języka, poznałem całą niedostateczność poprzedniej swej pracy, a jednakże jako urzędnik sądowy, więcej niż ktokolwiek inny brałem udział w życiu Indjan. Turysty zaś ze statku parowego przesiadają się do wagonu, z wagonu na statek, lotem ptaka przebywają Madura, Pondiszery, Madras, Benares, Delhi, Bombay i wracają do Europy po dwóch miesiącach, przekonani że poznali Indje jaknajdokładniej.

Na dowód, że tylko dłuższy pobyt i bliższe stosunki z Indjanami mogą dać wyobrażenie o obyczajach tego narodu (czego żaden turysta nie dopnie), pozwolę sobie przytoczyć parę wydarzeń, których byłem uczestnikiem lub świadkiem.

W 1867 r. zastępowałem prezydenta sądu kryminalnego w Pondiszery. W kilka dni

po objęciu tych obowiązków, otrzymałem od inspektora policji raport o stanie więzienia i list od jednego z więźniów, Indjanina, następującej treści:

„Pundit-sahibowi (sędziemu) pozdrowienie.

Annassamy, syn Raganada, z kasty assary (kowali), skazany na dziesięć lat ciężkich robót, błaga, aby Pundit-sahib zwrócił na niego łaskawe oko i rozkazał, aby tenże Annassamy zaprowadzony był pod strażą pierwszego dnia w miesiącu avani (sierpień) do domu swego ojca, w celu dopełnienia obrzędu ślubnego z Marjamalle, córką Sinavassa. Błagam bogów aby błogosławili Pundit-sahiba.

Ten który jest niczem, wobec tego który jest wszystkim.

Annassamy”.

Dałem zezwolenie i rozkazałem, aby policjant towarzyszył więźniowi.

Teraz postaram się wyjaśnić powód dziwnej tej prośby.

Francja wprowadziła swoje prawa do posiadłości indyjskich. Nie tu jest miejsce roztrząsać, czy krok ten był logiczny. To tylko powiem, że kary, przewidziane kode-

ksem i wymierzone przez trybunały, nie czynią najmniejszego wrażenia na Indjanach. Krajowiec, skazany na karę najbardziej hańbiącą, nie traci ani przywilejów kasty, ani szacunku swoich ziomków; wyszedłszy z więzienia, udaje się do pagody, dla dopełnienia obrzędu oczyszczenia, lecz nie oczyszczenia ze zbrodni, którą popełnił: bynajmniej. Będąc w więzieniu, obcował z ludźmi należącymi do kast niższych od swojej i dlatego oczyścić się musi, poczem wraca na łono rodziny, która wita go uroczystą biesiadą.

Co więcej, tacy, którzy zostali skazani na piętnaście lub dwadzieścia lat więzienia i w tym czasie utracą najbliższych krewnych, proszą z całą naiwnością, aby ich do końca życia zatrzymano w więzieniu. „Zapomnieliśmy swojego rzemiosła, mówią nie wiemy, co z sobą zrobić; jeżeli nas oddalicie, to będziemy zmuszeni kraść, aby znów dostać się tutaj“.

W samej rzeczy, więźniowie łatwo godzą się ze swoim losem: pracując ciągle zewnątrz więzienia, na ulicach i drogach publicznych, pod strażą policjantów Indjan, którzy także nie pojmują, że kara kryminalna jest hańbą, — używają względnej swobody; wolno im, w chwilach odpoczynku, widywać żony i dzieci, i tylko noce przepędzają w więzieniu.

Codziennie, o szóstej rano, oddział więźniów wychodzi na robotę, pod strażą policjanta, który kieruje porządkiem i podziałem pracy. Więźniowie i dozorczy jedzą razem śniadanie, a do nich przyłączają się przyjaciele i krewni, przychodzący odwiedzić więźniów. O czwartej po południu, kończy się robota. Więźniowie, zamiast wrócić do thana (więzienia), dążą każdy do swego domu, a dozorczy idą w swoją stronę. O szóstej wieczorem jedni i drudzy schodzą się na placu przed więzieniem, nikogo nigdy nie brakuje, i dozorczy wraz z więźniami idą pod rygle. Różnica zachodzi tylko w tem, że dozorca nie będący na służbie, może iść na noc do swego domu, lub wałęsać się po mieście.

Co do utrzymania, więźniowie w Indjach mają się lepiej, niż jeden rolnik. Pożywienie ich składa się z ryżu i carry (potrawa z ptactwa), będących podstawą pokarmu dla wszystkich Indjan, bez różnicy stanu i majątku. Oprócz tego każdy dostaje dziennie trzy ana (12 kop.), a pieniądze te wystarczają mu na utrzymanie rodziny. Ponieważ więc płaca jest wysoka, a pobytu w więzieniu nie uważa się za hańbę, więźniowie, przeto bardzo poszukiwani są na mężów jako dobre partje.

W dniu oznaczonym Annassamy ożenił

się, a nazajutrz wrócił do więzienia, razem z policjantem, którego był zaprosił na drużbę.

Rozmawiając o tej sprawie z paleagarem, naczelnikiem policji, dowiedziałem się, że Annassamy, przed swoim uwiezieniem, kilkakrotnie prosił ojca Marjamalle o jej rękę, ale ten zawsze odmawiał, dając za powód, że Annassamy nie ma za co żony utrzymać. Wysoka płaca więźnia usunęła przeszkodę.

Możnaby myśleć, że w takich, okolicznościach więzienia indyjskie muszą być spełnione. Tymczasem, w stosunku do ludności, liczba więźniów jest wcale niewielką. Pochodzi to z trzech powodów: najprzód więźniowie tylko przez parę godzin na dzień używają swobody, w razie zaś ucieczki jednego, zabronionoby wszystkim oddalania się, które jest tylko tolerowaniem. Powtórze więźniowie zniewalani są do bezustannej pracy, co nie jest miłym dla Indjanina; wreszcie Indjanie, należący do jakiejś kasty, nie są z natury złoczyńcami; poprzestają na małym i nie lubią przymusu, oraz kłopotów i niespokojnego życia, nieodłącznego od rzemiosła łodzieja.

Muszę przytem wspomnieć o jednym jeszcze rysie, nader charakterystycznym. Indjanin, ścigany za przestępstwo, używa wszelkich możliwych wybiegów, aby się ukryć

przed ręką sprawiedliwości; lecz gdy zostanie schwytyany, nigdy nie próbuje uciec. Niejednokrotnie pozwala się więźniom wyjść na dzień cały, z powodu jakiejś uroczystości rodzinnej, a nigdy jeszcze nie było wypadku, aby którykolwiek skorzystał z tego i schronił się na terytorjum angielskie.

Pewnej nocy przybiegł do mnie paleagar i obudził mię, dając znać, że jednemu z najbogatszych bankierów skradziono klejnoty, wartości 30,000 rupij (około 20,000 rb). Sprawcą kradzieży był niejaki Siagy-Naga, z kasty bohisów, łotr znany w całej kolonii. Bohisowie, czyli szybkobiegacze, są to w ogóle ludzie nieposzlakowanej wierności i prawości; można im dać pod opiekę żonę lub majątek; dadzą się zabić co do jednego w obronie powierzonych sobie skarbów. Lecz wszędzie są wyjątki, a Siagy-Naga oddawna wypędzony był z kasty.

— O której godzinie popełniono kradzież? zapytałem.

— Zaledwie pół godziny temu, a wedle raportu, bohis pobiegł w kierunku Madras.

— Ile czasu potrzebuje aby tam przybyć?

— Siagy-Naga należy do lepszych biegaczy; z Pondiszery do Madras jest 35 mil, przebiegnie je w czternaście godzin, a może i prędzej.

— Poszlę depeszę do attorneya głównego.

— Pundit-sahib pozwoli powiedzieć sobie, że telegrafista w Madras, dowiedziawszy się z depeszy o kradzieży tak znacznej może uprzedzić Siagy-Naga i podzielić się z nim zdobyczą.

(Winienem objaśnić czytelnika, że telegrafisci w posiadłościach angielskich są wszyscy Indjanami).

— Masz słuszność, ale nie widzę innego sposobu.

— Jeżeli mi wolno dać radę...

— Mów, pelear; znasz się lepiej ode mnie na wybiegach Indyjskich.

— Trzeba posłać do Madras szybkobiegacza.

— Złodziej zyskał na czasie, biegacz nie potrafi go doścignąć.

— Dlaczego nie? trzeba tylko wybrać dobrego bohisa, a w najgorszym razie nasz wysłaniec będzie wkrótce po Siagy-Naga i uprzedzi władze angielskie.

— A czy znasz takiego, któremu zaufać można?

— Zaufać można wszystkim; idzie tylko o rzeźkość i siłę w nogach. Mamy teraz w więzieniu bohisa, nazwiskiem Maile-Naga, skazanego na sześć miesięcy za to, że w bójce złamał rękę muzulmaninowi. Poszlij go pan do Madras, a jestem prawie pewny, że przybędzie przed złodziejem.

Usłuchałem rady i kazałem przyprowadzić do siebie Maile Naga. Oddałem mu depeszę, którą przywiązał sobie do włosów. Zdjął odzież, włożył w usta pieniądź, który mu dałem na żywność w drodze, i już miał wyruszyć, gdy mój woźnica, daleki krewny Maile-Naga i także z kasty bohisów, poprosił mnie, abym mu pozwolił wybrać się razem z wysłanecem, dając za powód, że we dwóch łatwiej obronią się, bądź to drapieżnym zwierzętom, bądź złodziejowi, gdyby chciał stawić opór. Zgodziłem się na to i w jednej chwili Tszina zrzucił odzienie, poczem namaszcili się obydwaj od stóp do głów olejem kokosowym i zaręczając, że za dziesięć godzin staną w Madras, przycisnęli łokcie do boków i ruszyli z miejsca tak szybko, jak koń w pełnym galopie.

Bohisowie od dzieciństwa wprawiają się do biegu i dochodzą do takiej pod tym względem doskonałości, że mogą przez dzień cały iść o lepsze z koniem, a wieczorem rumak więcej będzie zmęczony, aniżeli człowiek. Przekonałem się o tem naocznie kilkanaście razy. Po trzech lub czterech dniach wyścigu koń się ochwaci, a bohis, im dłużej biegnie, tem więcej sił nabiera i wtedy zdolny jest do odbycia kursów niepodobnych do wiary.

We dwadzieścia dwie godzin potem obaj bohisowie byli z powrotem, razem z wię-

źniam i klejnotami. Łatwo wyobrazić sobie moje zadziwienie. Napotkali Siagy-Naga na kilka mil przed Madras; zatrzymał się w jakiejś oberży dla wypoczynku, i moi wysłańcy, choć nieupoważnieni, przyaresztowali go niezwłocznie.

Siagy-Naga, widząc się w ich mocy, nie tylko poddał się losowi, ale ze śmiechem wyzwał obu bohisów, kto prędzej powróci do Pondiszery, i przez całą drogę biegli na wyścigi. Rozumie się, że Maile-Naga otrzymał uwolnienie od kary.

Powiedziałem, że nasze prawa nie czynią wrażenia na Indjanach. Inaczej byłoby, gdyby do nich zastosowano przepisy karne z ksiąg Manu i prawa dawnych rahajów. Indjanin z uśmiechem słuca wyroku, skazującego go na dwadzieścia lat więzienia, ale niech sędzia rozkaże parjasowi, aby Indjanina kastowego uderzył miotłą albo sandałem, a cały kraj wnet się oburzy. Niema Indjanina, któryby nie przekładał najokropniejszych męczarni i śmierci nawet, nad tę karę, która na Europejczyku niewielkie wywarłaby wrażenie.

Indjanin, uderzony przez parjasa narzędziem uznanem za nieczyste, zostaje wypędzony z kasty do której należał i zalicza się do Tszandalas, to jest do ludzi bezkastowych, pogardzanych tak, jak parjasowie. Wedle

pojęć indyjskich, człowiek taki dopiero po tysiącach kolejnych przemian odradza się w ciele kastowca i może znów rozpocząć wędrówkę duchową ku Paramatma, wszechduszy, w której ostatecznie wszelkie stworzenie kiedyś się zjednoczy. Ta wiara rodzi pogardę dla wszelkiej kary, niepociągającej za sobą wyłączenia z kasty.

Dodam jeszcze, że Indjanie wszystkich kast są tak zjednoczeni ze sobą i tak umieją zachować milczenie w sprawach, które ukryć pragną, że częstokroć niepodobieństwem jest pozyskać dowody przewinienia.

Oto dwa przykłady.

W 1866 roku mała córka serestadara, głównego poborcy podatków, Indjanina, została obdarta przez jakąś żebraczkę i jej dziesięcioletniego syna z klejnotów, które miała na sobie.

Rodzina serestadara, przy pomocy domowników, schwytała oboje przestępców; zaprowadzono ich do ogrodu, i tam, wedle dawnych praw indyjskich, wszyscy obecni ustanowili się jako sędziowie, i aby zmusić winnych do przyznania się, skazali ich na najokropniejsze męczarnie.

Trudno wyobrazić sobie, do jakiego stopnia Indjanie, z natury dość łagodni, stają się okrutnymi, gdy mniemają, że powinni wykonać przepisy prawno-religijne swojego

kraju. Obie ofiary palono żelazem, kładziono w mrowiska... ale nic nie zdołało zmusić ich do wyznania prawdy. W końcu, widząc bezskuteczność tego okrucieństwa, wyrzucono matkę i syna wpół martwych na ulicę. Gdyby ich zabito i pochowano na miejscu, nigdy sąd nie dowiedziałby się o tej zbrodni.

Żołnierze z marynarki, wracając w nocy do koszar, zobaczyli oboje, leżących na kupie śmieci. Urządziwszy naprędce nosze z gałęzi, przenieśli matkę z synem do szpitala. Nie umarli wprawdzie, ale cztery miesiące przebyli w łóżku.

Skoro tylko żebaczka i jej syn mogli mówić, natychmiast rozpoczęto śledztwo; ale ani prośbą, ani groźbą nie można było skłonić ich do wydania swych oprawców. Na wszystko odpowiadali: „Nic nie wiemy, nic nie pamiętamy“.

Rozdzielono syna i matkę; lecz i to na nic się nie zdało. Domyślaliśmy się, że przestępcy musieli należeć do wysokiej jakiej kasty i że za pośrednictwem dozorców szpitalnych, Indjan, wywierali wpływ na ofiary swojego okrucieństwa. Na dowód, z jakimi trudnościami sędzia śledczy miał do walczenia, przypomnę, że powstanie z 1857 r. przygotowywało się przez pięć lat, a żaden ze spiskowców nie zdradził tajemnicy, i do-

piero w dzień wybuchu Anglicy dowiedzieli się o grożącym im niebezpieczeństwie.

Nareszcie wpadliśmy na pomysł następujący: zwrócono matce chłopaka i umieszczono oboje w sali tak urządzonej, że przez wentylator umieszczony w murze, świadkowie, będący w przyległym pokoju, mogli słyszeć ich rozmowę. Nie wiem czy oboje domyślali się zasadzki, dość że przez dwa tygodnie mówili tylko o rzeczach obojętnych.

Na świadków wybraliśmy żołnierzy z marynarki, Francuzów, którzy przebywając długo w Indjach, nauczyli się miejscowego języka.

Zachowano wszelkie środki ostrożności, aby nieobecność żołnierzy w koszarach nie dała powodu do podejrzeń. Skazano więc trzech żołnierzy, ludzi roztropnych i zaufanych, na czterdzieści dni aresztu za jakieś urojone przewinienie, a następnej nocy oficer wy dobył ich z kozy i zaprowadził do szpitala. Z wielkiem zadowoleniem przyjęli poruczony sobie obowiązek: jeden czuwał bezustannie, podczas gdy dwaj drudzy wypoczywali, lub grali w karty i pili piwo; sędzia śledczy odwiedzał ich tylko nocą, i wówczas, śmiejąc się, prosili, aby mogli tak do końca służby wojskowej pozostać, bo nigdy jeszcze nie zdarzyła się im taka gratka.

Traciliśmy już nadzieję, gdy pewnej nocy

jeden z owych zaczajonych żołnierzy przyniósł do sędziego śledczego raport, który przepisuje dosłownie:

„Dzisiejszej nocy, 25 października 1866 r., dozorca szpitalny Wassu wszedł do pokoju, w którym przebywa ta kobieta z synem, i rzekł do nich: Sąd nie może wpaść na trop żaden; milczcie jak dotąd, a za kilka dni muszą was puścić. Serestadar dotrzyma słowa: dostaniecie dom, pole ryżu i cztery tysiące rupij; jeżeli zaś go wydacie, to potrafi się zemścić. Poczem Wassu dał im paczkę betelu i wyszedł“.

W godzinę potem Wassu, serestadar, jego rodzina i wszyscy domownicy byli już pod kluczem. Wassu, przekonawszy się, że nie może się zaprzec stanowczo, zwałił całą winę na domowników serestadara, lecz twierdził upornie, że sam serestadar nigdy nie dawał mu żadnych poleceń, tylko jego służący.

To zeznanie miało za sobą niejaką cechę prawdopodobieństwa, gdyż służący bogatych Indjan należą zawsze do tej samej kasty, co ich chlebobodawcy, a częstokroć bywają z nimi spokrewnieni. Rodziny indyjskie po dziś dzień urządzone są na sposób patryjarchalny: jest to jednolita społeczność, mająca swego naczelnika.

Serestadar i jego najbliżsi krewni utrzy-

mywali do końca, że nie wiedzą o niczem. Domownicy przyjmowali na siebie całą winę, aby ocalić swych zwierzchników, i pomimo moralnego przeświadczenia o współwinie, przysięgli, dla braku dowodów, uwolnili serestadara i jego rodzinę, a skazali służących. Stało się to, co nieraz bywa w świecie: słusarz zawinił, a kowala powieszono; mali zapłacili za wielkich.

Żebraczka i jej syn przeczyli wszystkiemu do końca, twierdząc, że nic nie pamiętają.

Jeszcze ciekawszem jest zdarzenie następujące.

Od kilku lat zawiadamiano bezimiennie sąd i policję, że w ruinach pagody Tirvikarrie, niedaleko wioski Tendevanom, zgromadzają się wyznawcy bogini Kaly, którzy nie zaniechawszy swoich krwawych obrzędów, podczas każdej uroczystości mordują ludzi na ołtarzu bożyszczu. Mieliliśmy pełną szufladę denuncjacji tego rodzaju, ale do każdej dołączony był raport inspektorów policji i naczelników gminy, orzekający, że oskarżenia te są bez żadnej podstawy, i w końcu rzeczywiście zaprzestano zwracać uwagę na tę okoliczność.

Pewnego dnia, gdy wychodziłem z gmachu sądowego, na schodach zbliżył się do mnie Indjanin jakiś, i podawszy papier zapieczętowany, zniknął w tłumie. Rozerwałem ko-

pertę: była to nowa denuncjacja na mieszkańców wioski Tendevanom, z ostrzeżeniem, że podczas nadchodzącego wkrótce święta bogini Kaly, młoda dziewczyna, kupiona na terytorjum angielskiem od Tszandalasów, ma zostać zabita na ofiarę. Podano z najdrobniejszymi szczegółami opis miejsca, gdzie ukrywano dziewczynę, i denuncjant dodawał, że jeśli dotychczas wszystkie śledztwa spełżyły na niczem, to jedynie dlatego, że przestępcy wprzód byli uwiadomiani o przybyciu władzy, zanim sędzia śledczy wyjechał z Pondiszery.

Ten dokument zakłopotał mnie niepomału. Co począć? Nie mogłem lekceważyć tak okropnego oskarżenia. Gdyby nawet było kłamliwem, to jako urzędnik, obowiązany byłem działać. Ale trudność leżała w tem, że, jak powiedziałem, wszyscy Indjanie trzymają ze sobą i żadnego w tej sprawie użyć nie mogłem. Policja indyjska nie odmawia nigdy posłuszeństwa, ale jeżeli szuka gorliwie, to równie gorliwie stara się, aby nic nie znaleźć. Nie mogłem także użyć policji europejskiej, bo o jej przybyciu wiedzianoby w Tendevanom, zanimby śledztwo zaczęto, a policja indyjska w takich razach, zamiast nieść pomoc, umyślnie wprowadza agentów europejskich na błędne tory.

Miałem dziesięć dni czasu. Powziąłem więc

zamiar zbadania tajemnicy bez udziału policji, która na nic nie mogła mi się przydać. Nie pomyślałem nawet o przyaresztowaniu podejrzanych, wiedząc z góry, że Indjanie umieją zabierać z sobą tajemnicę do grobu.

Cześć bogini Kaly, której ludzkie ofiary poświęcano, od wieków przestała być tolerowaną w Indjach, i trzeba przyznać zresztą, że bramini zawsze potępiali tę krwawą sektę. Jednakże ukryci i nieliczni jej wyznawcy istnieją jeszcze, a w Bengalu, gdzie mieli główne swoje siedlisko, Anglicy zniewoleni byli urządzić przeciw nim formalną krucjatę.

Fanatycy ci noszą nazwę Thug'ów. Powieściopisarze europejscy odmalowali ich niejednokrotnie w nader przesadny sposób; nigdy bowiem Thug'owie nie zabijają Europejczyków, najprzód dlatego, że ci odbywają podróże uzbrojeni i w licznym orszaku, a powtóre, że zniknięcie Europejczyka wywłałoby krwawy odwet, zwłaszcza ze strony Anglików, którzy w tym względzie nie znają litości; wreszcie, w pojęciu Indjan, każdy Europejczyk jest tak nieczysty, jak parja, a na ołtarzu bogini tylko czyste ofiary składać wolno.

Im dłużej myślałem nad denuncjacją, tem silniejszego nabierałem przekonania o jej prawdziwości. Być mogło, że cząstka Thug'ów, ścigana przez Anglików, schroniła się

na terytorjum francuskie (gdyż przedtem nie było nigdy Thug'ów w kolonji francuskiej) i osiadła w mało zaludnionej okolicy Tirvikarre, spodziewając się znaleźć tam spokój.

Nie mogąc przeto użyć zwykłych sposobów, uciekłem się do następnego wybiegu.

Inżynierowie z zarządu dróg i komunikacji, zatrudnieni bezprzestannie naprawą stawów i kanałów, służących do nawodnienia pól ryżowych, mieszkają w wioskach indyjskich i bardzo lubiani i poważani są przez krajo-
wców. Z natury też swego obowiązku mogą przenosić się z miejsca na miejsce, bez wzbudzania podejrzeń, gdyż potrzebują bardzo często zwiedzać upusty i rowy, dochodzące do pól każdego rolnika. Umyśliłem przeto znieść się z inżynierem naczelnym, ale nie mogłem ani pójść do niego, ani prosić go do siebie: jedno i drugie mogło zbudzić baczność Indjan. Ułożyłem więc rzecz w ten sposób, że spotkałem się z nim u gubernatora, który co wieczór przyjmował u siebie urzędników, i opowiedziałem mu o co mi chodzi. Inżynier naczelny podzielił moje zapatrywanie się i zawezwał natychmiast do siebie inżyniera dozorującego kanały w okolicy Tendevanom, pod pozorem zmian w mających się przedsięwziąć robotach.

Ów inżynier od kilku lat mieszkał w tymże okręgu i udzielił mi nader ciekawych szczegółów. Podług niego, wszyscy mieszkańcy byli przekonani, że ludzie o których wspominano w denuncjacji, składali nocą krwawe ofiary w ruinach pagody, podczas wielkich uroczystości. Wprawdzie z mieszkańców okolicznych żaden nie zniknął w sposób tajemniczy, ale to nie stanowiło dowodu, bo Thug'om łatwo było wybierać ofiary swoje między pielgrzymami i włóczęgami, krążącymi ustawicznie po kraju, a którzy, jako do żadnych ksiąg nie zapisani, przepadali w takim razie bez śladu. Zwłoki też, rzucone do lasu, w ciągu godziny mogli zniknąć pod zębem hyen i szakałów.

Odczytałem inżynierowi denuncjację i włożyłem nań obowiązek pilnowania miejsca, w którym, jak twierdził oskarżyciel, ukryta była przeznaczona na ofiarę dziewczyna. Miejscem tem miało być podziemie zniszczonej pagody. Inżynier zapewnił mnie, że potrafi to spełnić bez obudzenia podejrzeń i dodał, że gdyby był do tego umocowany, to wyratowałby dziewczynę i przyaresztował wszystkich uczestników zamierzonej zbrodni.

Dałem mu wówczas rozkaz do thasil-dara i policji miejscowej, zalecając wszakże, aby jej użył dopiero w chwili stanowczej.

— Nie dowiedzą się ani słowa przed czasem — rzekł — w przeciwnym razie niewarto byłoby wdawać się w tę sprawę.

Umówiliśmy się, że ani ustnie, ani listownie znosić się z sobą nie będziemy; od tego zależało dopięcie celu. Inżynier wyjechał, z rozkazem pozornym, aby zabrać się do naprawy rowów przy drodze z Tendevanom do Tirvikarre, zamulonych podczas pory deszczowej.

Przez cały tydzień byłem jak na rozpalonych węglach, trawiony niepokojem i ciekawością; wreszcie 4 września rano otrzymałem przez bohisa depeszę następującą:

„Ofiara ocalona, w chwili gdy ją przywiązywano do kamienia na oltarzu. Dwa-dziesięć sześć osób schwytanych“.

Sprawa zakończyła się przed sądem przysięgłych. Thug'owie ponieśli różne kary, ale żaden, pomimo dowodów, nie przyznał się do winy.

Młody inżynier sprawił się tak, że najwprawniejszy agent policyjny w Europie nie dorównałby mu niezawodnie.

Rozstawił kilkudziesięciu robotników indyjskich na drodze i wyznaczył im robotę; na temże miejscu rozbił namiot dla siebie i przez dzień cały zajmował się wyłącznie naprawą drogi, każdej zaś nocy wymykał się z namiotu i szedł na czaty do ruin pa-

gody Tirvikarre. Drugiej już nocy zyskał pewność, że jakaś stara kobieta z Tendevanom nosiła co noc żywność do podziemia pagody. Przekonawszy się, że tylko jedno wejście prowadziło do podziemia, nie chodził już na zwiady i czekał do święta bogini Kaly, to jest do 3-go września. Troszczył się tylko o to, jak zawezwać policję bez sploszenia Thug'ów, i nareszcie wpadł na pomysł prawdziwie genialny.

Pod pozorem nagrody, kazał dać kilku robotnikom sporą porcję kallu (wódki z mleka kokosowego); ci też upili się i wszczęli bójkę z innymi. Wtedy inżynier, bojąc się niby, aby w nocy nie przyszło do zaburzeń, wezwał na pomoc thasildara i całą policję ze wsi sąsiednich, zalecając jej pozostanie przez parę dni w obozowisku, dla postrachu robotników. Tym sposobem policja umieszczona została o paręset kroków od ruin pagody, nie domyślając się sama właściwego celu i pod tak naturalnym pozorem, że nikt nie mógł powziąć najlżejszego podejrzenia. Gdy stanowcza chwila nadeszła, inżynier pokazał thasildarowi wydane przezemnie pełnomocnictwo, rozkazał policjantom iść za sobą i dostali się do podziemia w chwili, gdy Thug'owie przygotowywali się do spełnienia zabójstwa.

Takim to sposobem schwytano Thug'ów

z Tendevanom i położono koniec ich morderstwom na terytorjum francuzkiem. Jakkolwiek Anglicy tępią Thug'ów bez miłosierdzia i wieszają za najłżejszą poszlakę, resztki jednak wyznawców tej sekty istnieją do dziś dnia w lasach.

.....

Z Pomparipo do Negombo (miasto węzłów) a ztamtąd do Colombo, przez cały ciąg sześciodniowej podróży nad brzegiem morza, żaden niespodziewany wypadek, żadne spotkanie nie przerwało samotności, która otaczała mnie i moich towarzyszków. Przybywszy do miasta, skierowałem się wraz ze swoją małą karawaną do hotelu, gdzie postanowiłem zatrzymać się nieco dłużej i wypocząć po trudach i wzruszeniach czteromiesięcznej podróży wśród lasów i pustyń. Po wspaniałych widokach dzikiej przyrody indyjskiej, potrzebowałem wytchnąć na łonie cywilizacji, a pod tym względem Colombo stoi na jednym z pierwszych miejsc pośród miast angielskich w Indjach wschodnich.

KONIEC.



77 147

SPIS RZECZY.

str.

I.	Jaffnapatnam. — Podatki i administracja Anglików w Indjach.—Podania religijne i obrzędy	6
II.	Fakirowie, Sannyassi i czarodzieje	49
III.	Wyjazd z Jaffnapatnam. — Kada-we. — Nocleg w lesie. — Walka dwóch słoni z wężem boa	73
IV.	Ramisseram.—Zatoka Kalpentyn.—Kalmany.—Połów pereł. — Amudu i rekin	100